



Wislickiego Adama

49 i 50.

WYBÓR

SZKICÓW I POWIEŚCI

PRZEZ

LUDWIKA BÖRNE'GO.

TOM TRZECI.

WARSZAWA

—
1882

Cena kopiejek 34.

PROSPEKT.

Dzisiejszy stan naszej oświaty wymaga nie tylko wydawnictw dobrych, kompletnych, ale i tanich — odpowiednio do powszechnego ubóstwa, obok powszechnej chęci czytania. Wszystkie też narody posiadają takie tanie wydawnictwa arcydzieł literatury własnej i obcej, odnawiające się niemal corocznie, dla milionów co chwila przybywających do stołu oświaty. Anglicy cieszą się swemi pennowemi bibliotekami, a Filip Reclam swą „*Universal Bibliothek*”, której każdy tomik kosztuje 20 fenigów, zasiewa obfite ziarno po całych Niemczech. Dokonać czegoś podobnego dla literatury polskiej jest gorącą naszą chęcią, świętym obowiązkiem, gdyż tego pilna zachodzi potrzeba, gdyż coraz bardziej nowe pokolenia ze słuchu tylko powtarzają wieści o własnych i obcych arcydziełach. Czy taki stan ma się nazywać oświatą — czyż ma odpowiadać godności oświeconego narodu?

Trzeba temu zaradzić!

Wydawnictwo które niniejszym prospektem ogłaszamy, składać się będzie z arcydzieł własnych i obcych literatur wybranych z dziedzin najobszerniejszych i najrozmaitszych. Ponieważ nie tworzymy żadnego *zbiorowego wydania*, a jedynym związkiem między pojedynczymi tomami będzie jednostajność formatu i okładki, przeto nie ogłaszamy żadnej periodyczności w wychodzeniu tomów, ani żadnej *z góry wiszącej się mającej prenumeraty*. Każdy tomik złożony z pięciu do sześciu arkuszy druku, szesnastki wyraźnym *bourgeoisem* zadrukowanej, na czy-

Börne Ludwig

WYBÓR
SZKICÓW I POWIEŚCI.

przez

LUDWIKA BÖRNE'GO.

TOM TRZECI.

WARSZAWA

Wydawnictwo dzieł Tanich A. Wiślickiego.

—
1879.

Wydano z dubletu
Publ. m. st. W.

Дозволено Цензурою.
Баршава 2 Мая 1879 года.

182044



I.

Drzewo do budowy romansu.

(1820 r.).

Szczęśliwy urządził w myśli piękny dom obszerny i ozdobił go wytwornie. Czy spodziewał się kołysać w nim wnuki, a śmierć wydarła mu jedynego syna? Czy zamierzał wprowadzić drogą sercu swemu towarzyszkę, która przy stopniach ołtarza odmówiła przysięgi wierności? Może sam chciał się dogodnym cieszyć posiadaniem, a niedostatek stanął na przeszkodzie? Jakikolwiek był powód — zaniechano budowy. Różne są nadziei ułudy, lecz zawiedzione nadzieje wszystkie są jednakie. Drzewo budowlane w kominie żarzy się ponurym płomieniem, a nie wszystko jeszcze stracił nieszczęsny, gdy druga pierś, inna drżąca ręka w surowe dni mroźne ogrzewa się z nim wspólnie przy jego ognisku.

Niech niebo ześle na głowę moją najstraszliwsze burze, niechaj mnie dręczą wszelkie piekiel męczarnie, ścierpię wszystko, lecz samotności nie znoszę.

Mordercę krwi chciwego postaw naprzeciw bezbronnej piersi; on wszakże widzi serce które rozdziera. Żyć nieznanym — oddychać w grobie, to jest samotnego dola. Ileż nieszczęsnych, jako rozbitki na świat wyrzuconych, którzy wokół siebie bezludną znajdują pustynię. Nadaremnie nad wybrzeżem wywieszają znaki, wezwanie o pomoc krwią własną spisane — żaden okręt się nie zbliża. Mijają miesiące i lata. Późno dopiero wyschłe, osłupiałe oczy na nieboskłonie odkrywają żagiel. Lecz jest on zbyt daleko. Nikt nie słyszy nieszczęsnego krzyków, nie dostrzega znaków i statek posuwa się dalej. Śmierć jedyna kończy osamotnionego cierpienia. Po wielu lat przebiegu, burza innego wędrowca na pustą wyrzuca wyspę; widzi martwe swego poprzednika ciało, z niego wyczytuje opis doznanych męczarni, ażeby równej oddać się rozpaczy.

Do czego przydatną jest mowa? Gdy najbardziej pomocy jej wzywamy, odmawia nam swej usługi. Kiedy zgłodniały żądałem chleba, lub wody będąc spragnionym, wreszcie balsamu na zbolące członki—spełniano moje żądania. Lecz gdy z sercem błogą radością przepełnionem, szukałem czułego serca ażeby się zbytkiem podzielić mojego wesela, gdy boleść rozdzierała mi duszę i szukałem ucha dla jęków moich odgłosu, nikt mnie wtedy nie rozumiał i około mnie przechodzili mniej wzruszeni niż drzew westchnieniem, których gałęzie szeleszczą pod powiewem wiatrów.

Samotnie stoi człowiek na ducha wyżynach, samotniejszym jest jeszcze w serca swego głębi. Czy

nie znajdowałaś się niekiedy wobec rubasznego hulaki i nie odegrałaś z nim śmieszno-smutnej krotoczwili. Piliście do siebie z czary uciech najbrudniejszych; z wszystkich szydziliście świętości; staraliście się nawzajem przewyższyć w najpospolitszych, prostackich żartach i w późną noc chwiejnym krokiem hałaśliwie po ulicach krążąc, budziliście ze snu spokojnych mieszkańców. A jednakże zwodziliście się obadwaj. Miękkie, szlachetne serce było w waszej piersi, duch płomienny jaśniał wam swem światłem; lecz nie poznaliście się na sobie i brak wam było wzajemnej ufności, a każdy ukrywał lepszą swą naturę. Gdybyście się zrozumieli, przycisnąwszy serce do serca, w błogim uścisku bylibyście skojarzyli radosne wasze uczucia i smutki. Obłudnikami zowiecie ludzi? Nigdy oni równie troskliwie występków nie kryją jak swoje cnoty.

Śmieszni ludzie! często drżącą ranią ręką aby dać dowody swojej surowości; z obawy zbójeckiej napaści nędzarzowi wzbraniają do drzwi swych przystępu. Najszlachetniejsze organa, głowę i serce, natura twardą osłoniła kością, brzuch natomiast został niepokryty — tak człowiek bez wstydu objawia niskie swoje żądze, ale tak szlachetne uczucia i wzniosłe natchnienia — ukrywa swe cierpienia i boleść chętniej niż pociechę znosi. Niezbyt dawno pocztą jechałem wzdłuż Renu. Co może być w całym niemieckim państwie najpospolitszego z włóczących się kramarzy, żydów i dziewczyn złego prowadzenia, to wszystko znalazło się razem. Jeden z towarzyszków podróży więcej był mi wstrętnym

niżli wszyscy inni. Młody ten człowiek był miernikiem. Nosił białe, niebiesko prążkowane lniane pantalony, kamasze z żółtego nankinu, a czarna jedwabna jego kamizelka była nieznośnemi zasiana kwiatami. Fajka jego była dużemi żółto-czerwonemi kwastami zdobna. Całe towarzystwo natrętnie częstował kiszka którą miał przy sobie, zapijał wódkę z każdym pocztalionem, nigdy nie mógł długich nóg swoich w pożądaney dogodnej umieścić pozycyi, zaczepiał każdą przechodzącą wiejską kobietę i wyczerpał cały swój zapas nieprzyzwoitych obmierzłych żartów. Po obiedzie człowiek ten zasnął i chrapał ogrzany promieniami słońca. Książka wypadła mu z kieszeni; wziąłem ją do ręki. Był to Tytan Jean Paul'a; przy niezliczonych zakreśleniach, znakach rozmaitych, wszystkie marginesy były zapisane. Żadnej żyły nie opisał niezrównany anatom uczuć ludzkiego serca, którejby miernik nie przerysował, żadnego nie odsłonił nerwu, którego by tenże nie odczuł, żadnej nie opowiedział boleści, której by on nie potwierdził wiernego przedstawienia. Niejedno pociągnięcie pędzla wielkiego malarza było łzami wielbiciela zmazane i często zasłona przez poetę na niezmiernie cierpienia zarzucona, była w uniesieniu rozpaczki niezachwianą uchylona dłonią. Przebudzony, widząc książkę w moich rękach zarumienił się i zawołał z gniewem: „Głupstwo! dobre tylko do zapalenia fajki“ i rzeczywiście wydarł kartę i fajkę zapalił. Takim jest człowiek!

Ten kto szuka samotności
 Wnet się widzi opuszczonym;
 Wszyscy hołdują miłości,
 On jest w smutku pogrążonym.

Tak, dobrze zrozumieli lutnistę; gdy kogo dzikie ogarnie szaleństwo, wtedy dopiero nadchodzą i zamykają go w domu obłąkanych, nie w celu uzdrowienia nieszczęsnego, lecz dla własnego bezpieczeństwa. Z jaką starannością zbadano ciało ludzkie i odróżniono w niem każdą żyłę, każdy nerw i mięsień. Jak troskliwą zwrócono uwagę na rozwój różnych pór wieku, na wszelkie funkcje pojedynczych organów. Jak wiele odkryto chorób, począwszy od bólów położnicy, od wyrzynania się zębów aż do osłabienia starości i dla każdej z nich setki obmyślono środków. Jak liczni są lekarze, jak bogate apteki! Lecz czy istnieje choć jeden lekarz dla chorej duszy, jeden płyn na ukojenie jej boleści! Przy osłabieniu nerwów lub ich rozdrażnieniu, ileż przepisów i środków wzmocnienia ich lub uspokojenia. Ale gdy struny serca zwolnieją lub zbyt mocno są napięte, któż się o to troszczy? Nie ma na to usmierzającego środka, spojrzeniem nawet nie raczą obdarzyć podobnych słabości; dopiero gdy struny są zerwane, wtedy widzą ogrom nieszczęścia aby z niego szydzić, mówiąc: oto skutki nierozsądnej, wygórowanej wyobraźni. Wiele wieków minęło zanim tyle nabyto mądrości, iż ciało nieszczęsnego samobójcy zaprzestano wyprowadzać przez kata i grzebać na rozstajnych drogach. A jednak o ile lepsze były te czasy, gdy wszystko opromieniała miłość

i wiara, a nawet uduchowiła ciało. Wówczas, gdy chory był miotany kurczem mięśni, mniemano iż jest opętany przez złego ducha i kapłani przemawiali do jego serca. Obecnie duszę przywiedziono do stanu skostnienia i chociażby była przez stu czar-tów dręczoną, lekarze opowiadają iż to pochodzi z robaków we wnętrznościach nurtujących.

Ludzie są samotni w duszy, przez ciało jedynie pozostają z sobą w związku. Tylko przy ucztach można znaleźć jeszcze miłość i porozumienie, ale gdy serce opływa w radość lub cierpi niedostatek, wtedy na próżno szukać będziesz współbiesiadnika lub gościnnego gospodarza któryby łaknącego nakarmił. O, zablakana miłości! fałszywe współczucie! Gdy złożonego chorobą trawi gorączka, ażeby w krótkim czasie powstał z niej silniejszym i zdrowszym, lub w bezwiednem odurzeniu zeszedł z tego świata—cóż na tem zależy? A jednakże przyjaciół dręczy smutek i obawa! Ale zranione serce, nigdy nie zabliznione, zawsze krwią ociekłe i bolejące aż do kresu życia nie znajdzie opieki.

Samotności serca, jakże jesteś straszliwą w weselu i w żałobie!

Gdy chcę się nacieszyć, czytuję książki o wychowaniu; jeżeli jestem tragicznie usposobiony, wtedy patrzę na ludzi dobrze wychowanych. Możliaby osza-leć, gdyby szal już nie nastąpił wprzód. Zaprawdę, dziecięcia życie, najłżejszemi bólami porodu za drogo jeszcze jest opłaconem. Mikropolityka każdego obywatela posiadającego własnego ducha—a takimi

jesteśmy wszyscy — jest wytworzona na podobieństwo wschodniego despotyzmu. Tam jakakolwiek dziedzicznie panująca idea, krawiec, szewc, uczonek, kupiec, siedzi jak sułtan na tronie i obchodzi się z wszystkimi zmysłami, myślami i uczuciami ludzkiej natury jak z martwą masą, nie mającą woli ani samodzielnej siły. Niech jakakolwiek powstanie żądza, niebawem będzie janczarskimi szablami prawa rozsiekaną. Chcąc jakiś szlachetniejszy popęd uśmiercić zaszczytnie, posyła mu się jedwabny sznurek moralności, którym sam udusić się winien. Ile sił w człowieku ginie niezużytkowanych! Nie — gdyby zupełnie zaginęły, strata nie byłaby jeszcze zbyt wielką; ale każda niezużytkowana siła kiśnie i psuje wszystkie soki życia, jak źle zachowane wino w ocet się zamienia. Wszystkie nasze wady są to spaczona cnoty. Ile liczymy radosnych dni w życiu? Szczęśliwi, którym kołyska zamienia się w trumnę; nie wielu jest którym więcej nad jedną czarę dziennie wychylić przeznaczono.

Człowieka władze winny być wyrobione demokratycznie, iżby każdej z nich kolejno zabierać głos, działać i używać było dozwolonym. Ale u najszcześliwszych nawet ludów, stany: głowa, serce, żołądek, mają przewagę, inne rozliczne frakcje wśród nich znajdujące się — nie mają głosu ani znaczenia. Wiem dobrze z kąd ten smutny pochodzi stosunek. Przyczyną jest prastare matactwo Law'a i nasza prababka, chciwość żarłoczna. Brzęcząca monetę kładą na bank malowany, złoto spada na ziemię, toczy się i ginie w przestrzeni. Nadzieje czerpiące

źródło w Mississipi! Gdzie Mississipi toczy swoje nurty? Gdzie obiecana ziemia Luiziany? Nie wielu którzy wiedzą o tem.

Miłość jest łagodnym światłem księżyca, wędrowcowi przewodnikiem w nocy pożądanym; lecz szczęśliwszy kto we śnie noc przepędzi ciemną.

Wśród ludzi jeden jest stalą, drugi krzemieniem, inny zapalnym próchnem: zetknąwszy się, działając społem, sobie i innym roznieciliby jasne światło radości. Ale tak się nie dzieje. Miłość własna człowieka sama sobie głębokie zadaje rany. Każdy poszukuje towarzysza równego sobie znaczeniem i ztąd kamień zawsze tylko spotyka się z kamieniem, stal łączy się ze stalą i nigdy iskra zatlić się nie może.

II.

M e n e e.

(Mieszkańcy księżyca).

(1826 r.).

Żałować należy że wykształcone klasy towarzystwa tak mało na księżyc zwracają uwagi. Ich nieświadomość pod tym względem jest tak wielka, że małej zapewne liczbie czytelników znane jest znaczenie wyrazu Menee i sądzić będą po większej części, iż pod tym napisem podają im romans zajmujący. Po przeczytaniu nawet tej uczonej rozprawy.

niektórzy pozostaną jeszcze w błędnem mniemaniu iż romans czytali. Lecz nie możemy ich łajać za tę obojętność, nie możemy się dziwić ich nieumiejętności. Nie, jest to winą uczonych, gdy mniej uczeni tak są niepojętni. Niemiecka erudycja posiada sposób wyrażania myśli dla ogółu nader niezrozumiały, a o jasność wykładu nikt się nie troszczy. Mamy przekłady dzieł ze wszystkich języków starożytnych i nowych, ale tłumaczenia z niemieckiego na język niemiecki oczekujemy nadaremnie. Z pierwszą próbą na tem polu występuję nieśmiało, prosząc o sąd pobłażliwy. Zamiarem moim jest obeznać czytelników Dziennika Porannego z rozprawą o księżycu, w wier-
nem tłumaczeniu. Rozprawa obejmuje godne uwagi, zdumiewające, Liesłychane rzeczy. Autorem jej jest pan profesor Franciszek von Paula Gruithuisen w Monachium, a była umieszczoną przed niedawnym czasem w Nasse'go czasopiśmie antropologicznem. Niejednemu zapewne trudno będzie pojąć, z kąd rozprawa o księżycu dostała się do czasopisma zajmującego się antropologią; niechaj ją czyta, a rzecz mu się wyjaśni i przyzna że pan Gruithuisen znakomity dostarczył do antropologii przyczynek. Napis rozprawy jest: „Uwagi filozoficzne nad zgodnemi z prawami natury stosunkami zmienności istot rozumnych na księżycu.“ Innemi słowy: Uwagi filozoficzne nad rozumnymi istotami na księżycu, jakimi były, są i będą według praw natury. Zanim atoli dalej postąpię, wypada mi nadmienić, iż nie zawsze podzielam poglądy uczonego autora. Pochlebiam sobie iż jestem z księżycem dobrze obeznany; często w la-

tach młodości spoglądałem na niego z tęsknem zadumaniem, niejedną odkryłem okoliczność przez pana Gruithuisena pominiętą, niejedno w innym jak on widziałem światło. Oddając mu przeto winny hołd za jego liczne, ważne i nowe odkrycia, ośmielałem się sprostować lub uzupełnić w niektórych punktach jego spostrzeżenia. Jednakże uczynię to z należytą skromnością i w ten sposób podam godny naśladowania przykład uprzejmości, jaką uczeni nie mieccy zawsze względem siebie przestrzegają winni.

Pan Gruithuisen zaczyna temi słowy: „To co tu zamierzam przedstawić, jest szeregiem możliwości, za których rzeczywistością wielka przemawia liczba spostrzeżeń.“ Uczeni europejscy niechaj czytają i odczytują te piękne słowa, niechaj się wstydzą i wstydzicie nie przestają. Podczas gdy oni tak często mądrzenia swe jako rzeczy możliwe, możliwości jako rzeczywiste podają fakta — cóż czyni pan Gruithuisen? postępuje wbrew przeciwnie. Szereg rzeczywistości, za których autentycznością wielka liczba spostrzeżeń przemawia, uznaje on tylko ze szereg rzeczy możliwych! Niezwykła skromność, podziwienia godna, przewyższona jednakże i przyćmiona przez większą jeszcze, która następuje. Pan Gruithuisen bowiem nadmienia dalej: że jakkolwiek ma wszelką pewność co do przedstawionej przez siebie sprawy, ponieważ przez całe życie rozmyślał nad nią, rozważał, badał i robił doświadczenia, jednakże tych jedynie spodziewa się przekonać, którzy zgadzają się z nim w sposobie myślenia i postępowania. Pan Gruithuisen nie podziela zatem niezachwianej ufno-

ści innych autorów, nigdy nie powątpiewających iż zdołają czytelnikom narzucić swoje mniemania; przeciwnie, wie on iż to nie jest w jego możliwości i że tylko tym czytelnikom będzie mógł wpoić swój sposób myślenia, którzy go już posiadali poprzednio. Ale co do tych ostatnich, p. Gruithuisen nie ma najmniejszej wątpliwości; dla tych, mówi, jego historia księżyca będzie miała też samą wartość co Genesis przez Mojżesza przedstawiona. W niektórych punktach różni się wprawdzie od Mojżesza, mianowicie w tem, iż dalej niż tenże sięga w historii stworzenia; natomiast zgadza się z nim zupełnie w innych poglądach. Więc też nie chcąc nudzić czytelnika, usiłować będzie, również jak Mojżesz, wyrażać się krótko i zwięźle.

Jaki był pierwotny stan natury w ogóle, w szczególności zaś księżyca i ziemi? Zapytanie jest nieco za śmiałe; ale my uczeni nie znamy obawy, a odpowiedź zawsze mamy w pogotowiu. Jeżeli natura tak postępuje jak zakonnicy wieków średnich: ściera starożytne klasyczne rękopisma stworzenia, ażeby w ich miejsce nowe spisywać dzieła — to uczeni przeciwnie naśladują bibliotekarza May'a w Rzymie: zeskrobują nowe rękopisma chcąc czytać stare zamazane, znajdujące się pod temiż. Pan Gruithuisen mówi: powstanie wielkiego ciała nieorganicznego w ten sposób jest tylko możliwe, że tworzy się ono przez nagromadzenie które zewnątrz następuje. Badaczom przyrody w naszych czasach z *żelazną siłą* narzuca się przekonanie, iż wielkie ciała niebieskie są wynikiem osadu z eteru, a że czynność ta opadania jest

pojmowaną jako ciągle jeszcze trwająca, tego dowodzi nowa nauka o atomach słonecznych i dawniejsza o substancjach meteorów, jako ciał kosmicznych. My, żadną żelazną siłą nieustraszeni, zastanowimy się spokojnie nad tym przedmiotem. Co do mnie, nie zgadzam się w tem z badaczami przyrody, aby wielkie ciała nieorganiczne powstawały przez skupienie atomów zewnętrzne. Nie zaprzeczam jednakże osadu z eteru—dalekim jestem od tego; ale nie mogę przyznać ażeby ciała nieorganiczne istnienie swe zawdzięczały temuż osadowi; nie widzę i nie uznaję nigdzie w przyrodzie ciał nieorganicznych. Człowiek nazywa ciałami nieorganicznymi jestestwa o wiele niżej lub zbyt wysoko nad nim stojące, do których nie zdoła zniżyć lub wzniesć się zmysłami swemi i pojęciem. Wszystko jest ożywionem, wszystko technie życiem. Słońce, księżyc i gwiazdy są również jak my tworami żyjącymi—i ziemia także. Wskazują to jej organiczne funkcje: jej napawanie się i wydzielanie, przypływ i odpływ morza, elektryczność magnetyzm, wskazują to nawet jej choroby. Pycha arystokratyczna utrzymuje człowieka w ułudnem mniemaniu, iż on jest panem stworzenia, a ziemia jego zamieszkaniem. Człowiek niczem więcej nie jest jak organem ziemi; wiele mu czynimy ustępstwa uznając go za najszlachetniejszy jej organ, za mózg kuli ziemskiej. Niektóre okoliczności przemawiają za tem przypuszczeniem. Chcąc być szczerymi względem siebie samych, musimy przyznać iż niekiedy jesteśmy szalonymi, a nawet najwięcej szalonymi pomiędzy wszystkiemi żyjącemi tworami. Do-

wodzi to iż reprezentujemy rozum; jesteśmy rozumem i mamy go za naszą planetę. Chociażbyśmy nawet dali się ubłagać i dobrodusznie zgodzili się na to, że człowiek nie tylko jest organem ziemi, ale istotą samodzielną, to jednakże żadną miarą zezwolić nie możemy, aby się człowiek uważał za najdoskonalsze stworzenie na ziemi. Natura nie robi przeskoków; niebo za wysoko jest nad ziemią położone, przedział między aniołem a człowiekiem zbyt jest wielki—muszą istnieć twory pośrednie. Pies nie ma świadomości o tem że jest posłusznym panu swemu, zdaje mu się iż działa dowolnie. Podobnie dzieje się z człowiekiem. Tak zwane przezeń popędy, skłonności, namiętności, zasady, są rozporządzającymi nim panami, którym ulega w posłuszeństwie. Widzimy człowieka tonącego; lecz nie widzimy aby go topiono, jak chorego pudła. Uznając ziemię za ciało organiczne, nic osadowi z eteru nie ujmujemy. Osad ten jest pokarmem ziemi — assimilowany przez nią staje się jej wyżywieniem; ale ziemia wzrasta wewnątrz, jak zwierzę. W człowieku również widzimy osadzające się powietrze, wodę, wino, chleb, ozory wołowe i kuropatwy, a nie mówimy przeto że jest on ciałem nieorganicznym wzrastającym na zewnątrz, a owe dobroczynne osady i chętnie onych przez nas przyjmowanie—nazywamy jedzeniem i pićciem.

Co się tyczy nowej nauki o atomach słonecznych, nauka to była dla mnie rzeczywiście zupełnie nową—a ciesząc się nad tym nabytkiem mojej wiedzy, równocześnie mocno żałuję że nie dowiedzia-

łem się o tej nowości kilka dni wcześniej; byłoby się przez to wielkiej zapobiegło niesłuszności i niezasłużonej krzywdzie. W przeszłym tygodniu jeszcze złażałem służącą, za to iż po raz setny może przekroczyła mój rozkaz, mianowicie: ażeby zawsze otwierała okno podczas uprzątniania pokoju. Przyszedszy do domu poczułem zapach kurzu, smakowałem pokład jego na języku; narobiłem wrzawy. Dziewczyna utrzymywała że okno było otwarte, że ona kurzu nie widzi, i tenże tylko w mojej znajduje się wyobraźni. Wskazałem jej na pył przez promienie słońca oświecony, wtedy zamilkła. Lecz moje gderanie i jej milczenie sprzeciwiało się nauce przyrody. Oświecony przez słońce pył nie był niczem innym tylko atomami słonecznymi, osadem z eteru, a małeńkie ciała kosmiczne nie mogłyby przecież w żaden sposób dostać się do pokoju, gdyby okno nie było otwarte.

Nietylko jednakże lekkie te, nieujęte ciała delikatnie pudrując ziemię spadają na nią, ale nadto całkowite światy lub wielkie ich odłamy. W ten sposób, jak p. Gruithuisen utrzymuje, niegdyś wyspa Ceylon, Nowa Hollandya, Nowa Gwinea, Kraina Czeska spadły ze sfer powietrznych. Wyznać muszę iż to jest zbyt twardy osad i nieco za wielkiej objętości; wyobrażałem sobie przyrodę więcej ugrzechnioną. Zaiste, smutno jest pomyśleć, iż używając przechadzki w ciągłej będziemy obawie, czy nam wielki kawał geografii znienacka nie spadnie na głowę. Cóż nas od tego zabezpieczy? Niech mi kto wynajdzie Czecho chrony! Żadna kitajka, żaden

fiszbin nie wytrzyma takiej nawałnicy. P. Gruithuisen mówi wprawdzie, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie jak się na pozór zdaje. Nie tylko stworzenia owych światów walących się z warstw powietrza pozostają przy życiu, ale także ziemscy mieszkańcy obszarów, gdzie ciała te runęły, są ocaleni — jeżeli tylko nie są tak niefortunni lub tyle niezręczni iżby się dostali w samą otchłań pogrążenia. P. Gruithuisen widocznie szydzi z naszej trwogi. Nie każdemu jest dane być skoczkiem na linie, a któryż wreszcie skoczek jest dość zwinny by zdążył umknąć przed wyspą Ceylon, obszerną Nową Holandją z jej złodziejską tłuszcą, lub wcale przed ciężką krainą Czeską z twardemi jej gór żebrami? P. Gruithuisen byłby zaprawdę lepiej sobie postąpił, gdyby zataił smutne swe odkrycia. Nie jestże to okrutnym z jego strony żartem, gdy nas pociesza, że po takim gradzie krain każdy człowiek będzie istniał nadal, „o ile nie poniósł śmierci w samej katastrofie“. Piękny sposób pocieszania, gdy mi ktoś powie: pozostaniesz przy życiu, jeśli go nie stracisz. P. Gruithuisen utrzymuje dalej: „Tylko ludzie biali są pierwotnymi mieszkańcami ziemi; wszystko co mieszka pod zwrotnikiem i w strefach podzwrotnikowych, jest ziemi obcem“. Szczęściem dla pana de Villèle, uczeni francuzcy nie mają o tem wiadomości. Obecnie właśnie z powodu usamowolnienia ludności na wyspie Hayti, ministrowi temu w Izbie deputowanych gwałtowny stawiają opór; różne wyszukują powody celem przedstawienia tego środka jako w następstwach nader zgubnego, ale nikomu nie

przeszedł przez myśl najdonioślejszy zarzut, mianowicie że mieszkańcy wyspy Hayti nie są ludźmi, tylko osadem z eteru.

Zkąd ludzie przybywają? Gdzie ich ojczyzna? Ach nieszczęsni! nie mają oni ojczyściej ziemi, mają tylko wodę ojczystą. Ludzie pochodzą z morza, byli oni również jak wszystkie zwierzęta lądowe, niegdyś morskimi tworamami i osuszyli się zwolna. Ciepła krew i gorące cierpienia, oto wszystko cośmy nabyli przez tyle lat tysięcy! Gdy dzieci zapytują zkąd ludzie przybywają, otrzymują odpowiedź że pochodzą ze źródła, lub że bocian przynosi. Szczęśliwe dzieci, mówią prawdę a słuchają kłamstwa; my zaś ludzie dojrzali prawimy kłamstwa, a słyszymy prawdę, smutną niestety prawdę! Cóż może być więcej zasmucającego nad myśl: że ludzkość w dzieciństwie swem nie mlekiem lecz słoną wodą była wykarmioną? Pochlebia to może dumie niektórych ludzi, gdy rodowód swój mogą już nie od skromnych obywateli Adama i Ewy wywodzić, a raczej od wieloryba: rodzina przez to jest o tysiące lat starszą, staje się szlachetniejszą. Ale wielki Boże, jakież szlachectwo! Mieć ostrygę za akuszerkę, sztokfisa za przodka! Gdyby przynajmniej p. Gruithuisen nie był udowodnił swojego twierdzenia, pozostawiłby nam pociechę wątpliwości. Lecz podaje stanowcze dowody iż byliśmy niegdyś zwierzętami morskimi i do ucieczki od tej myśli zagradza nam drogę. Mówi on: „Dwie rzeczy na ziemi naszej na osobliwą zasługują uwagę“. Pomijamy pierwszą z tych osobliwości przez p. Gruithuisena przytoczono-

nych, chcą zdumienie czytelnika na ważniejszy skierować przedmiot. Druga osobliwość, wyrażona własnymi p. Gruithuisena słowami, jest następująca: „Upodobanie ludzi i wielu zwierząt do soli morskiej i do wody. Upodobanie w soli morskiej wskazuje na pierwotny środek utrzymania, na powszechny pierwiastkowy płyn całego zwierzęcego świata. Morskie zwierzęta przeobraziły się w lądowe. Ludzie lubią się kąpać i ptaki także. Dlaczego ludzie z tak wielkim smakiem spożywają ryby“?... Co do soli nie ma wątpliwości. Człowiek niegdyś w soli miał swe legowisko, dla tego sól lubi. Ztąd też wyjaśnia się ta okoliczność, że zakochane kucharki rosół przesalają. W takich wypadkach bowiem miłość dziecięca spotęgowana jest miłością erotyczną, a skutkiem tego wzrasta pożądlivość soli. Zupy na lądzie solone bywają wprawdzie solą warzoną ze źródlanej wody — a ztąd możnaby wnosić, iż dzieci poniekąd mają słuszość mniemając że ludzie pochodzą ze źródła. Ale nie jest to żadnym dowodem przeciw twierdzeniu p. Gruithuisena. Wszakże sól źródłana niczem innem nie jest jak ucywilizowaną solą morską. Co się tyczy kąpienia, możnaby sądzić iż ludzie z tego powodu używają kąpieli, ponieważ są zalecone w Makrobiotyce Hufelanda, ale znów nie można o tem zapominać, że ludzie kąpali się już kilka tysięcy lat przed Hufelandem. Niemożliwym jest zatem namiętność ową do wody inaczej wyjaśnić, jak w sposób przez p. Gruithuisena podany: jest to rodzaj tęsknoty za rodzinną siedzibą—ludzie kąpali się z patryotyzmu. Na zdanie p. Gruithuisena odnośnie do niepomierne-

go apetytu ludzi na ryby, jakkolwiek jest głęboko pemyślanem, nie możemy jednakże zgodzić się bezwarunkowo. Ztąd że człowiek ze smakiem pożywa ryby, możnaby raczej przeciwny wyprowadzić wniosek, to jest że człowiek nie pochodzi z wody, albowiem mało jest rodzajów zwierząt rodzeństwo swe pożerających. Zresztą człowiek nietylko ryby, ale wiele innych rzeczy z przyjemnością zajada. Człowiek, jak dziecko, wszystko do ust kładzie i pochłania co nie jest zbyt twardem. Z dyademów i jajek, z ludów i zajęcy, z krajów i szparagów, człowiek przysposabia sobie pożywienie. Z równym smakiem, a częstokroć chętniej niż rybami żywi się człowiek mięsem wołowem; czy ztąd możnaby wnosić iż człowiek od wołów pochodzi? Przynajmniej nie z tego powodu. Nadto czy chęć pożywania ryb jest w istocie tak wielką, jak p. Gruithuisen utrzymuje. Znaczna jest liczba ludzi ryb nie lubiących, a znakomici badacze przyrody zauważyli, iż gust do ryb tylko przez przyprawy z jakimi są przygotowane bywa podniecony. Wreszcie nie potrzeba ryb na dowodzenie, iż ludzie byli kiedyś rybami; p. Gruithuisen wykazał to dokładnie innemi argumentami, a gdy mówi: „Że działalność twórcza produkuje wszystko co tylko jest możliwem, o tem, zdaje się, dostatecznie przekonywamy się na ziemi”—każdy rozsądny czytelnik zgodzi się na to zdanie.

Czas przystąpić do księżyca. Dość późno zabieramy się do tego, ale z konieczności wypadło ażebyśmy wprzód dokładnie wewnątrz i zewnątrz poznali ziemię, naszą siedzibę, zanim zajmować się będzie-

my obcemi ciałami niebieskimi. Znamy tedy już naturę ziemi, a obecnie zachodzi pytanie: jakim jest księżyc, jakie są jego własności i co się z nim stanie w przyszłości? Lecz zanim posłuchamy, co p. Gruithuisen na to odpowiada, musimy przede wszystkim przytoczyć zapytanie, jak je tenże sformułował. Nie zapytuje on bowiem jak my, wprost, naiwnie i bez obłudy, lecz pyta ze złośliwą ironią, przez co zupełnie inny obrot całej nadaje sprawie i ostatecznie przychodzimy do przekonania, że p. Gruithuisen historię swą o księżycu traktuje żartobliwie. Chciał się zabawić kosztem badaczy przyrody. Ci ostatni bowiem nie zapatrują się na przedmiot aby widzieć jakim jest, lecz naprzód decydują jakim być powinien, a następnie tak długo ze wszystkich go stron oglądają, dopóki im się w takim nie przedstawi świetle, jak sobie życzą. Natura podlega nieszczęsna, inkwizycyi, a badacze przyrody jako inkwizytorowie pozwalają sobie względem niej przypuszczeń zakazanych. Chcąc wyszydzić ten sposób postępowania, p. Gruithuisen nie zapytuje: jakie są własności księżyca? lecz przedstawia pytanie jakie muszą być własności księżyca, ażeby były takimi, jak je sobie wyobrażamy? Tajemnicę tej uciesznej ironii w zaufaniu tylko powierzamy czytelnikom, rozgłaszać jej nie powinni; nikogo nie należy pozbawiać zadowolenia z udatnego żartu,—więc też nadal udawać będziemy, jakobyśmy uznawali, iż p. Gruithuisen zdania swe z zupełną wypowiedział powagą. Pytanie jego brzmi dosłownie jak następuje: „Jakie wypadki według praw przyrody mogły nastąpić na księżycu, ażeby stanowiły natu-

ralną harmonię z rezultatami badań nowszych czasów?" Jako odpowiedź na to zapytanie dowiadujemy się wielu rzeczy nadzwyczajnych, jednakże nie będziemy się długo zastanawiać nad drobnostkami, a natomiast pilną zwrócimy uwagę na przedmioty wielkiego znaczenia i doniosłości.

Jak nas powyżej nauczono, ziemia jest mozajką, utworzoną z rozmaitych klinów kosmicznych, ludzkość zaś jest motłochem zebrany z odchodu obcych ciał niebieskich. Nowa Holandia, Czechy i inne części ziemi spuściły się z różnych okolic powietrza. Czy koloniści owi spadli lub zostali zrzućeni, czy się sami wynieśli lub ich wygnano, tego p. Gruithuisen nie wyjawia. Zresztą niewiele na tem zależy. Nie można nazwać wychodźstwem ani wygnaniem, gdy lud, jak np. czeski, nie tylko z domem i posiadłością, ale nadto z gruntem na którym tenże dom z tąż posiadłością jest położony, opuszcza swoją ojczyznę; nawet jak później się dowiemy, wychodźcy takowi zabierają ze sobą powietrze swej dawnej siedziby, tak że nic nie zmieniają prócz miejsca astronomicznego w przestworze wszechświata. Nauka ta o osadzie z eteru spowodować musi oczywiście zupełną zmianę w prawnictwie ziemi naszej. Ustawy o dobrach ruchomych i nieruchomych, o zastawach i hypotekach straciły już swoje znaczenie. Dowiedziawszy się że Nowa Holandia jest ruchomą, któż się odważy wypożyczać kapitały na hypotekę domów, które lada wietrzyk mógłby zwiać i rzucić w niezmierną przestrzeń? Majoraty nie mogą już być stanowione, a nowe prawo o pierworodności we

Francyi, śmierć poniesie równocześnie ze swem urodzeniem. Nauka o ruchomości dóbr nieruchomych była, zdaje się, poprzednio już przewidywaną; w dawniejszych bowiem dziejach Niemiec, znajdujemy wiele przykładów zastawionych prowincyj i ludów, coby żadną miarą nie mogło nastąpić, gdyby krain i ludności nie uważano za rzeczy ruchome. W tem miejscu zwrócimy się do kilku poprzednich uwag p. Gruithuisena, tutaj należących, a które zapomnieliśmy przytoczyć. O nowej Gwinei, tej bryle obcego, na ziemię spadłego ciała niebieskiego, wyraża się: „Znajdujemy tutaj znów ludzi rasy murzyńskiej, u których *pierś pierwiastkowo kometarnie rozszerzona*, dotychczas nie straciła jeszcze swej pierwotnej cechy“. Nie bardzo rozumiemy co autor chciał przez to powiedzieć, ale w każdym razie wyrażenie *kometarna pierś* jest równie trafne jak poetyczne i może być także do każdej białej piersi zastosowaniem. Serce człowieka jest kometą straszliwą, błyszczącą i groźną, nieuregulowanym i nieobliczonym postępującą biegiem.—Wspominając o Ceylonie, tej „małej kosmicznej kuli w ziemię zagrożonej“ p. Gruithuisen nadmienia: „Przykład ten wskazuje nam, że niemal trzecia część organizmów przybywających z obcym ciałem niebieskiem, może być od zagłady ocaloną, oraz że zwierzęta i rośliny pozostają w swym rodzinnym gruncie, a nawet niektóre mieszkania, pomimo postawy względnie nieco pochyłej, mogą być jeszcze za użyteczne uważane“. W ten sposób wyjaśnia się zagadka co do znanych wież krzywych w Bolonii. Autorowie opisujący podróże wystawili

się na śmieszność sprzecząc się o to, czy budowni-
czy nadał im rozmyślnie pochyłą postawę, czy też
pochyliły się one z biegiem czasu; ani jedno ani drugie
z tych przypuszczeń nie jest trafnem. Wieże Bolońskie
nie były ludzkiemi rękami budowane, są one osadem
z eteru, a spadając przybrały *względnie pochyłą po-
stawę...* ale oddaliliśmy się znów od księżyca. I nie
w tem dziwnego; będąc bowiem tak zawieszonym po-
między niebem i ziemią łatwo dostać zawrotu głowy
i potoczyć się w niewłaściwym kierunku. Teraz zato
mocno się uczepimy księżyca i nie wprzód go po-
puścimy, dopóki go w około nie zbadamy dokładnie.

Księżyc jest zamieszkały przez Menee, jak grecy
nazywają—przez mieszkańców księżyca, jak my się
wyrażamy. Że na księżycu, jeżeli tenże jest za-
mieszkały, mieszczą się mieszkańcy księżyca, tego
nikt z ludzi hołdujących słuszości panu Gruithuise-
nowi nie zaprzeczy. Natomiast niektóre inne jego
twierdzenia mogłyby wzbudzić niejaki wątpliwości.
Księżyc również jak ziemia, jak wszystkie wielkie
ciała niebieskie, miał powstać przez spojenie kilku
mniejszych ciał w nieskończonej przestrzeni krążą-
cych. „Że obce ciała niebieskie runąwszy na księżyc
powiększyły jego objętość, dowodzą tego niezliczo-
ne przykłady“. Przeciwno przykładom nie można
żadnego uczynić zarzutu, mianowicie gdy są niezli-
czone. Sądząc według wywodów p. Gruithuisena,
natura nie posiada geniuszu wynalazczego, przy two-
rzeniu zawsze jednakowym postępuje trybem. Czy-
telnicy nie obdarzeni zbyt wielką siłą wyobraźni,
mogą sobie księżyc i ziemię najtrafniej przedstawić

porównywając je z piłkami do grania, z różnobarwnych kawałków sukna złożonemi; z tą jednakże różnicą: że podczas gdy pstrokaczna piłki pochodzi z różnych odcieni światła szmat sukiennych, kula księżycza rozmaitość barw zawdzięcza różnym stopniom ciepła swych części składowych. Mniejsze bowiem ciała niebieskie spadając na większe, nietylko właściwe sobie organizmy, ale także własny przynoszą z sobą stpień ciepła, przez co pierwotna jasność ciepła większego ciała, zostaje zmienioną. Ztąd różnice klimatów na księżycu i na ziemi. Szare płaszczyzny księżycza, które możemy gołym dojrzeć okiem, otrzymują swą szarą barwę od *wykazanej przezemnie*—nie przezemnie komentatora, lecz przez pana Gruithuisena wykazanej—roślinnej powłoki. Życzyłoby należało ażeby p. Gruithuisen więcej nam udzielił ciekawych wiadomości z botaniki księżycza. Rośliny księżycowe posiadają wiele osobliwości, między innemi tę własność, iż nie są opatrzone pręcikami pyłkowemi, ztąd królestwo roślinne na księżycu przedstawia się jako państwo amazonek. Że Menee nie znają „troski o powietrze“, to nie wzbudza w nas zazdrości. Jeżeli mają jedną troskę mniej od nas, to niewątpliwie dręczy ich natomiast inna. Nic nie ma doskonałego na tym połatanym świecie, a cokolwiek bądź opadnie z eteru, zawsze jest z troską połączone.

Dotychczasowy bieg życia księżycza można w kilku opowiedzieć słowach. Księżyc najprzód był kometą, następnie planetą, a nakoniec satellitą ziemi, czem jest dotychczas. Jako kometa księżyc żył w surowym stanie natury, błąkał się jak dziki po niezmie-

rzonym wszechświata przestworze; nikomu nie roz-
 kazywał, nie słuchał nikogo i czynił co mu się po-
 dobało. Lecz nastąpił dla niego okres oświaty, po-
 żywał owoce z drzewa rozpoznania i popsuł sobie
 żołądek; wtedy jęcząc wzywał lekarza i opieki,
 a ziemia ulitowawszy się nad nim, poruciła go pie-
 czy swej macierzyńskiej policyi. Cenzura kierowała
 jego rozumem, izba skarbowa zarządzała majątkiem,
 a wydział sprawiedliwości karmił go za przewinienia
 łagodnie. Żywot księżycy podobnym jest do życia
 ludzkości i towarzysz ziemi zalić się nie ma żadne-
 go powodu. Lecz p. Gruithuisen dzieląc poglą-
 dy na życie zgryźliwego Rousseau, utrzymuje że cy-
 wilizacya unieszczęśliwiła księżyc. Mówi on: „Me-
 neom jako obywatelom wolnej komety lepiej się dzia-
 ło niż później, gdy księżyc został satellitą ziemi.
 Wtedy nie jaśniał już własnem światłem, stracił cie-
 pło wewnętrzne, a słońce i ziemia pozbawiły go
 większej części wody. Menee zmuszone zostały po-
 szukać środków zabezpieczających od nagłych
 zmian zimna i gorąca“. Jakkolwiek niechętnie przy-
 muję rolę oskarżyciela, jednakże nie mogę zamilczeć
 iż w zdaniach tych widzę dążności demagogiczne
 i jawne rewolucyjne usposobienie. Utrzymywać że
 Menee jako obywatele wolnej komety były szczę-
 śliwszemi niż pod łagodnem ziemi berłem — nie jest
 że to przemawiać na korzyść powstania amerykanów
 i greków? Że księżyc nie jaśnieje już własnem świa-
 tłem, jestże to rzeczą tak wielce pożałowania go-
 dną? Gdyby każdy człowiek na świecie własnem
 swoim chciał błyszczeć światłem, jakaż piękna by-

łaby illuminacya! Gdy słońce i ziemia, jako wynagrodzenie za kosztą wychowania i zarządu, dla księżycyca poniesione, pobierają od niego cło wodne, p. Gruithuisen zowie to pozbawieniem! Liberal! tylko może się tak wyrażać. Nie jest to pozbawieniem ale *opodatkowaniem*. I ludzie także muszą opłacać podatki, również jak Menee. Na ziemi wprawdzie woda jest od cła wolną, z wyłączeniem wody Mannheimskiej i Kolońskiej. P. Gruithuisen sam nadmienia że Menee, ponieważ im ciepła ujęto, zmuszone są przemyśliwać nad tem jak się chronić od zimna; uznaje zatem zbawienne podatków skutki, wie iż one popierają przemysł, wie on o tem wszystkim, a uskarża się jednakże!

Jak sobie poradziły Menee ażeby się chronić od nagłej zmiany gorąca i zimna przez budżet ziemi na księżycu spowodowanej? „Stały się troglodytami (zamieszkującemi pieczary), a według cech i śladów których odkryłem tuziny na powierzchni księżycyca, zdaje się iż są niemi jeszcze do dnia dzisiejszego“. Czytelnicy zauważą z upodobaniem, iż p. Gruithuisen przy wyliczaniu cech i śladów posługuje się starym, szanownym duodecymalnym, a nie rewolucyjnym decymalnym systemem. Rzeczywiście, przyroda i sztuka, 12 znaków zodyaku, 12 miesięcy, 12 synów Jakóba, 12 apostołów, 12 parów Karola Wielkiego, 12 domów gry w Paryżu i 12 tomów słownika wiadomości, zalecają liczenie na tuziny dostatecznie. Schröter dostrzegł na księżycu miasto. P. Gruithuisen temu nie przeczy, ale ma powody mniemać że „z tych zabudowań, tylko urządzone troglodycznie

są jeszcze przez Menee zamieszkane, inne zaś w go-
 rącej dnia porze udzielają podróżnym cień i spoczy-
 nek". Przy sposobności podróży Meneów, pragnęli-
 byśmy być poinformowani, jakie są na księżycu
 przepisy odnośnie do paszportów. Nie podlega wątpli-
 wości iż Menee do podróży potrzebują paszportów—
 jest to prastare prawo natury, należące do systemu
 agregacyjnego—o to tylko chodzi, czy dla Meneów
 dostateczne są paszporta przez władze na księżycu
 wydawane, czy też ze względu zależnego stanowiska
 księżycy jako satelity ziemi, muszą być udzielane
 przez zwierzchniczy rząd ziemski? Nie słyszeliśmy
 wprawdzie na ziemi nigdy o paszportach do podró-
 ży po księżycu służących. P. Gruithuisen widział
 zresztą na księżycu zabudowania letnie; naliczył
 trzystaście budynków nie większych „niż na ziemi
 zwyczajne chaty najemników“; dostrzegł także cień
 kilku ulic. W ogóle p. Gruithuisen odróżnił na księ-
 życu trzy style budownictwa; gdy jednakże nie pi-
 szemy wyłącznie dla samych budowniczych, ale dla
 wszystkich wykształconych warstw społeczeństwa,
 przeto nie będziemy się bliższymi zajmować szczegó-
 łami. Nakoniec odkrył p. Gruithuisen jeszcze zwa-
 liska siedzib pierwotnych księżycy mieszkańców.
 Zwaliska owe i ja także widziałem, lecz nie zgadza
 się to z mojami spostrzeżeniami, aby one pochodziły
 od pierwotnych mieszkańców księżycy. Są to raczej
 sztuczne ruiny jakie widzimy w naszych angiels-
 kich ogrodach.

Czy Menee są ludźmi? zapytuje p. Gruithuisen.
 Łatwo zadawać pytania, gdy kto nosi gotową odpo-

wieź w kieszeni. Chcielibyśmy pytającego zapytać: czem jest człowiek? Ale posłuchajmy go, może i na to także odpowie. Zatem, *Pytanie*: Czy Menee są ludźmi? *Odpowiedź*: „Nie można tu ani twierdzić ani przeczyć z zupełną pewnością. Jednakże wnioski na spostrzeżeniach naszych oparte, więcej przemawiają za odpowiedzią twierdzącą. Rezultatem z tych spostrzeżeń wynikającym jest sprzeczność ukształtowania czwororękiego i czworonożnego, która może być tylko rozwiązana przez przypuszczenie pośredniego ustroju, to jest dwurękiej i dwunożnej postaci”. Łaskawy czytelniku, teraz trzeba nam natężyć siły nasze chcąc zdążyć za panem Gruithuisen, postępuje on bowiem bardzo szybkim krokiem. Możemy powiedzieć jak murzyn w Szyllera Fiesko: nasze nogi mają pełne ręce zajęcia. P. Gruithuisen utrzymuje, że ponieważ Menee ani czterech rąk ani czterech nóg nie mają, zatem muszą być ludźmi. Ale czy czwororęki lub czworonożny skład ciała stanowi istotność stworzeń nie należących do rodzaju ludzkiego? Czwororęczkich zwierząt wcale niema na ziemi, z wyjątkiem brzydkiego zwierza o dwóch grzbietach w Otellu; z drugiej znów strony bardzo wiele istnieje tworów czterech nóg nie mających, a jednak nie będących ludźmi jako to: ptaki, ryby, owady i inne w historii [naturalnej Raffa wyszczególnione. Jeżeli zaś Menee nie są stworzeniami czwororękiemi lub czworonożnymi, czy koniecznie przeto muszą być dwiema rękami i dwiema nogami uposażone? Równie logicznie możnaby wyprowadzić następujący wniosek: ten lub ów człowiek nie posiada mi-

liona majątku ani też nie jest żebrakiem, — zatem majątek jego wynosi pół miliona. Bynajmniej! Może on mieć tysiąc florenów majątku, dwa tysiące, dziesięć tysięcy, sto tysięcy florenów; pomiędzy milionem i półmilionem znajduje się 999,998 wypadków, nie licząc kwot z krajcami. Tak również, jeżeli Menee czterech rąk ani czterech nóg nie posiadają, ztąd nie wynika jeszcze aby musiały być dwurękiemi i dwunożnemi. Mogą mieć jedną rękę i trzy nogi, lub jedną nogę i trzy ręce, albo pięćdziesiąt rąk i ani jednej nogi, lub mogą mieć tysiąc nóg a przytem być zupełnie rąk pozbawionemi. Zkąd wnosi p. Gruithuisen że Menee czterech rąk ani czterech nóg nie mają? Słuchajcie. „Z przypuszczeniem ażeby istoty na księżycu rozsądkiem obdarzone były czworonogami, w najzupełniejszej są sprzeczności zabudowania regularne, znajdujące się na powierzchni księżyca, ponieważ budowa tychże bez wiadomości geometrycznych jest niemożliwą“. Czy wiadomość jest w rękach zawarta? Ręce biegłość tylko posiadają—a nie same tylko ręce. Bóbr buduje sobie podziemne pomieszkanie, ptak gniazdo, pszczoła komórkę, ani wiadomości geometrycznych ani rąk nie posiadając. Przyroda sama, najdoskonalsze dzieła sztuki tworząca, nie posiada ręki. Dalej: „Przeciwko czworonożności świadczy 60 do 70 mil geograficznych długa droga, na księżycu widoczna, oraz odkryty przezemnie w ostatnim czasie wał bardzo regularny, 30 mil długi, z którego można wnosić o istnieniu tamże sklepień podziemnych dla podróżnych“. Tego dowodu również nie możemy uznać



ważności. Co do dróg zwirowych na księżycu nie ma żadnej wątpliwości, a za pomocą dobrych teleskopów można nawet czytać [na słupach milowych; ale wyprowadzone ztąd wnioski o nogach; Meneów zdają nam się bezzasadnymi. Być może iż Menee po drogach tych czołgają się na czterech nogach,— może trakty bite są tylko dla wozowej i konnej jazdy przeznaczone, może wcale nie służą do jazdy istot rozsądnych, a tylko do użytku bezrozumnych parowozów. Sklepienia dla podróżnych również nie dowodzą. Bowiem być może znów, że sklepienia te nie są do chodzenia, tylko do czołgania urządzone, być może wreszcie że ani do chodzenia ani do czołgania, lecz służą do wodociągów; jednym słowem— o rękach i nogach Meneów nie można wyrzec pewnego.

Inaczej rzecz się ma z głową; Menee mają głowy i to w najlepszym gatunku. P. Gruithuisen nadmieniał: „duma nasza nie dozwala stawiać Menee wyżej nad nas pod względem rozumu i oświaty, jednakże niektóre rzeczy zdają się wskazywać iż to nie jest niemożliwem“. Niewiem rzeczywiście jakie jest pod tym względem innych ludzi zdanie,—ale co do mnie, zupełnie nie jestem dumny; Menee bynajmniej nie mieszają mojego spokoju i chętnie ustępuję im we wszystkim pierwszego miejsca zadawalniając się drugim. Ale z kąd i po czem poznać można iż Menee należą do klas wykształconych? „Podaję tu—mówi p. Gruithuisen—wskazówki tylko wniosków, wiodących do domysłów iż Menee stoją na wysokim stopniu kultury pod względem sztuki oraz wiedzy“. Nie pojmujemy dlaczego p. Gruithuisen tutaj właśnie,

gdzie ma i gdzie podaje najsilniejsze dowody, tak się przezornie wyraża; dla czego zamiast powiedzieć stanowczo: tak jest, mówi tylko o wskazówkach wniosków wiodących do domysłów? Ale nie zastanawiając się nad tem dłużej, postępujemy raczej od wskazówek do wniosków a od wniosków do domysłów. Skoro już dojdziemy do domysłów, nic nam nie przeszkadza domysły zamienić na przekonania.

„W roku 1796 odkrył Schröter w pewnej prowincyi księżyca przedmiot z jasnych zupełnie prostych promieni utworzony, mający niejakie podobieństwo do miotły komety. Ponieważ Schröter zjawiska tego nie spostrzegł przed r. 1788 przeto musiało ono powstać około tego czasu między 1788-96 r. Takie regularne, na 20 mil długie pręgi nie mogą być utworem natury, muszą być dziełem sztuki. Jaki cel mogły mieć Menee w wykonaniu tak olbrzymiego dzieła? Dwa tylko zamiary można przypuścić, obadwa wysoki stopień kultury rozumu objawiające. Menee albo chciały zawiązać z nami rozmowę przez znaki, albo usiłowały przedstawić obrazowo starcie planety z kometą. Zamierzały okazać nam iż mają właściwy pogląd o wytworzeniu przez skupienie planetarnych ciał niebieskich. Jeżeli tak jest w istocie, Menee musiałyby mieć nader niekorzystne wyobrażenie o bystrości naszych władz umysłowych, gdyby im było wiadomem iż my, mieszkańcy ziemi, dopiero w bieżącym stuleciu zaczęliśmy się szczerze zajmować teorią skupienia. Niełatwo znajdzie fizyk inną naturalną przyczynę, wyjaśniającą owo zjawisko, podobieństwem do miotły komety zbliżone,

któraby nie była *slabą, niewłaściwą, niedorzeczną lub wcale śmieszną*". Jeżeli zaś ów utwór sztuki, prawdopodobnie przez Menee dokonany, nie wskazuje bezwarunkowo, iż chciały one przedstawić nam dla podziwu i naśladowania potęgę swych sił fizycznych i wytrwałość w pracy, to jednakże niewątpliwie jest faktem wielkiej doniosłości. Też same narzucają się myśli, jeżeli z uwagą zastanowimy się nad zjawiskiem przez Eisenharda dnia 25 lipca 1774 r. od północy do świtu w *Mare Crisium* obserwowanem, gdy, jak mniemam, mieszkańcy księżycy do naprzód obliczonego przepychu widowiska w rodzaju zorzy północnej, dołączyli czworakie sztuczne oświetlenie. Czy może wówczas koronował się cesarz jaki lub król na księżycu, albo obchodził uroczystość swych zaślubin? Illuminacya w *Mare Crisium*, tak jak u nas, miała miejsce po zachodzie słońca".

Godnem jest wielkich pochwał, że p. Gruithuisen, jako człowiek rzetelny, wszędzie zdanie swoje wy-nurza otwarcie; ale wolności z jakiej sam korzysta, należałoby także innym dozwolić. Przeto nie chwylimy mu tego bynajmniej, gdy objaśniając illuminacyę na księżycu z wyżyny filozofii natury, każdy inny, odmienny sposób wyjaśnienia naprzód potępia i zowie go *slabym, niewłaściwym, niedorzecznym i śmiesznym*. Niewinność wiele musi znosić cierpień na tym padole płaczu! Ale sprawiedliwy nigdy nie traci otuchy i dla tego bez obawy podaję nowe wyjaśnienie oświetlenia Meneów, które jak sobie pochlebiam, zadowolni wszystkich uczonech, słusność

uwzględniających. Odeprzeć zdania p. Gruithuisena zdaje mi się rzeczą łatwą, ponieważ niemają żadnej podstawy. Naprzód postawionem jest twierdzenie: że jasne promienie na 20 mil długie, przez Schrötera na księżycu odkryte, zostały przez Menee utworzone celem zawiązania z nami rozmowy przez znaki. W smutnych głuchoniemych stosunkach wzajemnych między Meneami i ludźmi istniejących, rzeczywistość nie im innego nie pozostaje, jak porozumieć się za pomocą znaków, ile razy zapragną rozprawiać ze sobą; ale w jakiż sposób może to nastąpić, jeżeli poprzednio nie umówili się co do znaczenia znaków? Dwadzieścia mil długie świetne promienie są domyślnikami dwadzieścia mil długimi, przyczem każdemu dozwolono myśleć co mu się podoba. Albo są to linie do nut nakreślone atramentem ognistym; ale gdzie nuty, gdzie melodia, gdzie tekst? Zatem mowa ta przez znaki nie ma żadnej, najmniejszej podstawy! Jeszcze mniej uzasadnionym jest sposób wyjaśnienia, jakoby Menee iluminację takową przysposobiły celem obrazowego przedstawienia starcia planety z kometą. Zetknięcie komety z planetą musi spowodować straszliwy łoskot, a dla uzmysłowienia takiej grozy byłyby wiele właściwszemi sygnały akustyczne, kotły, trąby, grzmot z dźwiękami, rozpaczliwe wrzaski, niż długie, świetne, zupełnie proste pręgi, które raczej mogłyby przedstawiać wyobrażenie spokoju i porządku. I czy podobna nadto myśl tę przypuścić, ażeby Menee z tak wielkim nakładem kosztów iluminowały drogę 20 mil długą, dla tego jedynie aby nas przekonać, iż o wy-

tworzeniu przez skupienie planetarnych ciał niebieskich mają właściwy pogląd? Cóż Meneom może tak wielce na tem zależeć, co my o ich astronomicznych sądzimy wiadomościach? Ale p. Gruithuisen mniema, iż one chciały sobie zażartować z bystrości naszego rozumu. Jakto! Cóż nas upoważnia ażebyśmy zacne Menee uważali za istoty chełpliwe i szydercze? A gdyby takimi były, czyżby nie znalazły stosowniejszego i obfitszego dla satyry przedmiotu? Czy największą z naszych niedorzeczności jest to, iż dopiero w bieżącym stuleciu zaczęliśmy się teorią skupienia ciał zajmować?

Równie jak poprzednie wyjaśnienie owej na dwadzieścia mil przedłużonej illuminacyi, nietrafnym jest sposób wytlómaczenia innego podobnego zjawiska, w r. 1774 przez Eisenharda dostrzeżonego. Wówczas Menee chciały blask wspaniałej zorzy północnej spotęgować poczwórną illuminacją! Zaiste gdyby to miało miejsce, Menee pod względem umysłowego rozwoju tak wysoko przez p. Gruithuisena postawione, mało okazałyby estetycznego poczucia i dziwne pojęcie o przyjemnościach optycznych. Zorzę północną uświetnić illuminacją, byłoby równą śmiesznością jak urządzać sztuczne ognie przy wschodzie słońca. Podobnie niegdyś Raynal okazał brak smaku, gdy chcąc uczcić pamięć Wilhelma Tella, w ciasnej szwajcarskiej dolinie, olbrzymiemi Alp szczytami otoczonej, wznosił lichy pomnik z granitu, obeliskiem przewany. Drugie wyjaśnienie spostrzeżenia Eisenharda, mianowicie jakoby owa illuminacja była z powodu uroczystości koronacyi cesarza lub

króla przysposobioną, jakkolwiek samo przez się nie przedstawia zdrożnego, jednakże jest o tyle błędnem, iż się wbrew sprzeciwia mojemu własnemu wyjaśnieniu, z którem niniejszem występuję—a jest to błąd bardzo wielki. Illuminacya w roku 1774 była urządzona w celu uroczystego obchodu rewolucyi amerykańskiej. W pamiętnym owym roku trzynastu prowincyj amerykańskich odpadło od Anglii. Nastąpiło to wprawdzie dopiero w dniu 5 Września illuminacya zaś już dnia 25 lipca miała miejsce—ale dla mądrych Meneów przewidzieć naprzód tak ważne zdarzenie było drobnostką.

Wyjaśnienie to moje samo się zaleca, przeto rozwódzić się nad niem długimi pochwałami nie widzę potrzeby.

Co do religii Meneów, p. Gruithuisen mniemał poprzednio, iż Menee są gwiazd czcicielami i wyż opisanę zjawisko w rodzaju komety uważał jako pozostające w związku z ich religijnymi obrzędami. Później jednak, dla ważnych przyczyn zmienił swoje zdanie. P. Gruithuisen z chwalebłą mówi rozwagą: „W ogóle wysledzić z niejaką pewnością właściwą formę religijną Meneów byłoby już dla tego samego niemożliwem, ponieważ niewiemy, czy u nich nie istnieje podobna jak u nas różnorodność ludów, różniących się po większej części w swych pojęciach religijnych, które być może ich praojcowie przynieśli z sobą na ziemię z wszechświata“. Ale zastanawiać się nad tem obecnie nie pora; zajmują nas inne jeszcze bardzo ważne punkta.

„Czy jest możliwem, aby Menee stały się kiedyś mieszkańcami ziemi?“ zapytuje p. Gruithuisen i odpowiada: „Tak. Porównywając ich z ludźmi, następuje nam się mniemanie, iż płuca Meneów są jednakowo z ludzkiemi uorganizowane. Ale w razie nawet gdyby i płuca ich miały odrębny ustrój, życie Meneów na ziemi, przy silnej zresztą budowie ciała, byłoby możliwem“. Pytanie i odpowiedź równie są niespodziewane. P. Gruithuisen uznawszy znaczną wyższość Meneów nad ludźmi, a to z wszelką słusnością, albowiem urządzają illuminacye, ciągnące się na 20 mil daleko, znały teorię skupienia ciał, gdyżmy jeszcze żadnego o niej nie mieli wyobrażenia, a nadto są „niewątpliwie większej od nas, być może nawet olbrzymiej postaci“—z tem wszystkiem nie przewidziana im świetniejszej przyszłości jak pobyt na naszej nędznej ziemi, która przecież nie jest prytaenum: zasługi! Taka jest nagroda cnoty, taka zachęta dla nauk i sztuk pięknych, taka wdzięczność Meneom za wynalezienie teorii skupienia! Ale zamilczmy raczej o tem; każdemu człowiekowi uczuciowemu krwawi się serce na taką niesprawiedliwość. W jaki więc sposób Menee mają zostać mieszkańcami ziemi? W sposób bardzo prosty: księżyc sprowadzi ich z sobą. „Do czasu gdy kula księżyca pograży się w ziemię może upłynąć 25,000 do 30,000 lat;“ są słowa p. Gruithuisena, a następnie mówi: „Menee zmuszone były różne obmyślić środki, aby pozyskać: pomieszkania ochronne, gdy komety przybyły i przemieszczały się w planetę, a planeta przeobraziła się w księżyc i zwolna nikła. Kometarne ciepło wewnętrzne,

Jakież nowe wynalazki Menee zdobyć sobie będą zmuszone, ażeby przeżyć 25,000 lat wygodnie na globie coraz zimniejszym i coraz więcej wody pozbarwionym!... Gdy tedy księżyc pogrąży się w ziemię, mniej cokolwiek zajmie obszaru niż zajęła kometa Nowej Hollandyi. Miejsce gdzie się równik jego zagłębi, przypadnie na równik ziemi lub w pobliżu tegoż. Wszystkie istoty organiczne na księżycu i na ziemi zostaną spławione, co zaś nie będzie spławionem, dostanie się pomiędzy rozpadliny zagrożenia, gdzie ulegnie zmiżdżeniu. Wszystko co ocalało z katastrofy będzie żyło nadal, *jeżeli silną posiada naturę*; co zaś śmierci ulegnie, będzie na wieczystą tego zdarzenia pamiątkę złożone w tworzących się nowych formacjach gór pokładowych i napływowych.—Że księżyc kiedyś zejdzie na ziemię, to już Ossyan opiewał przed tysiąc pięćset laty. W jednej ze swych pieśni mówi: „... i ty runiesz także którejkolwiek nocy i opuścisz twój tór błękitny na niebie! Wtedy gwiazdy, które dziś jeszcze twoja zawstydza obecność, głosić będą swą radość!” Czy atoli ludzie głosić będą swą radość, jest nader wątpliwem. Co się mnie tyczy, jestem spokojny; słabego będąc zdrowia nie obawiam się ażebym dożył tego strasznego wypadku. Lecz z głębi serca ubolewam nad silnymi i zdrowymi czytelnikami pana Gruithuisena Jakiż los będzie ich udziałem gdy księżyc nadejdzie? Albo będą istnieć nadal, jeżeli są silnej natury—a wtedy Menee, jako olbrzymy, będą się z nimi lekceważąco obchodzić jak z dziećmi, albo też w ten lub ów sposób okropna czeka ich

zagłada. Będą zatopieni, lub dostawszy się pomiędzy rozpadliny zagrożenia ulegną zmiążdżeniu, lub jako akta złożonymi zostaną do zapyłonych archiwów gór pokładowych, albo w ciemnych puszkach niby pieczęcie wyciśnięte groźną katastrofą, służyć będą na świadectwo przeszłości—najsmutniejszy zaiste los jaki może spotkać dyplomatów! P. Gruithuisen jednakże inaczej i w piękniejszych barwach przedstawia upadek księżycy. Postuchajmy co dalej opowiada w rozdziale: „Jakie będą czynności i cierpienia Geów (mieszkańców ziemi) i Meneów w czasie tej katastrofy?“. Przyplawy morskie będą większe, odpływy mniejsze, miesiące krótsze, prądy morskie gwałtowniejsze — podnosi się poziom morza. Morze Czerwone wkracza peryodycznie do Środkowego, morze Meksykańskie przelewa się do Wielkiego Oceanu (Amerykanie prawdopodobnie nic dotąd nie wiedzą o zagrażającym księżycy upadku, gdyż według pogłoski, powzięli zamiar przekopania międzymorza Panama z wielkim nakładem pracy i kosztów). Wyspy Moluckie i Sunda będą z czasem na drobne rozszarpane kawałki, a wyspy pod zwrotnikami położone Oceanu Spokojnego, Indyjskiego i Atlantyckiego w większej części zostaną zalane. Wypiarze chronić się będą na ląd stały, mieszkańcy nizin do wyższych zaczną dążyć okolic... Wtedy rozpoczną się obliczenia jak daleko jeszcze do czasu, gdy księżyc pogrąży się w ziemię; z drugiej znów strony utrzymywać będą, iż wypadek takowy jest niemożliwym, gdy tymczasem mieszkańcy krain pod równikiem położonych zmuszeni zostaną zbliżyć się

coraz więcej do stref umiarkowanych, a przy ciągłym posuwaniu się w tymże kierunku wyspy i niskie podzwrotnikowe obszary staną się zupełnie bezludnymi. We wnętrzu ziemi wrzeć będzie również bezładne zamieszanie; trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, wędrówki ludów na północ, walki tłoczącej się ludności, później pochód ze sfer umiarkowanych do krain północnych, lecz mniej wojenny, ponieważ rozsądniejsi tylko postępują dalej, mniej zaś przeczorni pozostają w miejscu... Wtenczas już przy pomocy zwykłej perspektywy kieszonkowej będzie można oglądać i podziwiać dzieła sztuki Meneów, tak dobrze, jak ja widziałem je ze zdumieniem za pomocą silnych dalekowszów achromatycznych; ale będą one opróżnione (dzieła sztuki?), Menee bowiem spowodowane niedostatkami wody a nadto za niepokoje brakiem wiadomości o tem co bliska zgotuje im przyszłość, wyniosły się na odwrotną księżycą stronę i osiadły w środku... Wreszcie wszyscy z drżącym sercem czekają na przerażającą katastrofę starcia się dwóch wielkich ciał niebieskich i pogrążenia mniejszego z nich w większym, przewidyując gwałtowne trzęsienia ziemi, które też następują niezwłocznie; morze zalewa obszary lądu i cofa znów wzburzone swe fale. Skoro niespokojny ruch rozkołysanych wód ustanie, wytworzy się zupełnie inny rozkład geograficzny (nakładcy książek i map geograficznych dobrze postąpią, jeżeli wydania przysposabiać będą w liczbie nie zbyt wielkiej. Sukcesorowie Gleditsch'a w Lipsku nie będą mogli dosyć nachwalić przezorności swych przodków, iż się z wy-

daniem encyklopedyi nie nadto spieszyli; nie będzie potrzeby dalszego jej przerobienia jak tylko do głoski L.).

Menee doświadczyły wielkich przewrotów towarzyszących katastrofie; zniosły gwałtowne burze i wstrząśnienia. Ale nowe, zgęszczone, wilgotne a ciepłe powietrze, zupełna zmiana warunków klimatycznych sprząta przez zarazę Meneów tysiące, aż nareszcie nowa powstaje generacya Gemeneów, więcej odpowiednia ziemi... Tymczasem Gemenee otrzymują odwiedziny Geów (byłoby to przekroczeniem przepisów etykiety; przyzwoitość wymaga, iżby Gemenee pierwsze złożyły Geom odwiedziny). Wymiana wiadomości historycznych, pojęć, płodów natury i dzieł sztuki. Nowy wiek złoty. Ziemia obraca się szybciejszym ruchem. (Spowoduje to wielkie narzekania ze strony *Offenbachskiego męża stanu*—który niedawno w pełnej głębokich pomysłów rozprawie wykazał, iż system Kopernika sprowadził wszystkie zgubne rewolucye nowszych czasów; bowiem, jak bardzo słusznie nadmienia, ponieważ ziemia jest w ruchu, nie można winić stworzeń na niej istniejących, iż postępując za danym przykładem nie mogą zachować się spokojnie—ubolewania jego będą niewyczerpane, gdy się dowie, iż ziemia kiedyś w przyszłości jeszcze szybciejszy przybierze obrót i wszystko co dotąd jest jeszcze stałem będzie w gruzy rozrzucone!... Powietrze stanie się regularniejszem, atmosfera ziemi więcej zgęszczona będzie przeto cieplejszą; jednym słowem ziemia zupełnie nową otrzyma postać. Nawet Geów natura szlachetniejszą uzyska organizacyę;

czy ich moralność i obyczaje również wyszlachetniają, zbadanie tego pozostawiam komukolwiek bądź innemu. „Podobne rezultaty mogły być jedynie przez rozmyślania filozoficzne nabyte. Przeznaczeniem ich było poprzedzić doświadczenie; czy jednakże osiągnęły cel zamierzony, potomność osądzi większością głosów lub przez przekonanie“.

Przedstawiony program uroczystości, mających nastąpić przy oczekiwanem przybyciu księżycy, jest dość szczegółowy i zadawalnia wszelką słuszną ciekawość. Niejednemu byłoby może pożądanem dowiedzieć się jeszcze czegoś więcej, co program pomija milczeniem; ale niepojętym byłby uczniem, kto w proroczej p. Gruithuisena szkole nie nauczył się przewidzieć i wyjaśnić sobie przyszłości.

III.

Waryat pod białym łabędziem czyli gazety niemieckie.

(Pierwsze rozdziały większego dzieła.)

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Radzca dworu Lieberchen, uczony prawnik z południowych Niemiec, miał się naocznie przekonać w Paryżu, że sądy przysięgłych i publiczne rozprawy korzystniejszemi są dla ludu, aniżeli dla rządu, a więc, że w ogóle są szkodliwemi. Zadania tego

podjął się z całą przyjemnością, a przejeżdżając przez Frankfurt, gdzie ja przemieszkuję, raczył mnie odwiedzić. Co go skłoniło, jadąc do Strasburga, zbończyć do Frankfurtu, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Niegdyś był on demagogiem i do tej chwili nie wyleczył się on z tego w zupełności, więc bardzo być może, iż postanowił w Frankfurcie poddać się kuracji arystokratycznej. Dość na tem, że przyjechał i zaszczycił mnie swemi odwiedzinami. Każda moja nowa znajomość zwiększa dobrą sławę mych pismek, gdyż posiadam tę sztukę podobania się mniej ludziom aniżeli moje pisma i nikt z gości nie wychodził odemnie nie wyszeptawszy tych słów: Któżby o tem pomyślał. Lecz w swym dniu nie miałem jakoś szczęścia i nie mi się nie wiodło. Pan Lieberchen miał szczególny talent pompowania i pompo- wał mnie tak ładnie, że w jednej godzinie więcej powiedziałem, aniżeli kiedyś indziej w jednym dniu. Byłem rozmowny, wesoły, dowcipny nawet miły. Gdy uderzyła godzina dziesiąta i musieliśmy się rozłączyć, to przedmiot naszej pięciogodzinnej rozmowy wcale nie został wyczerpany, ani nasz spór rozstrzygnięty, tak że równocześnie zawołaliśmy: *Ciąg dalszy nastąpi*, jak gdybyśmy obaj czytali jaki elegancki dziennik. Tak to łatwo spotykają się piękne duchy, podobnie jak to lżej drwić sobie można z swych więzów, aniżeli je zerwać! Mój nowy znajomy zaprosił mnie na obiad jutrzejszy w hotelu, co z miłą chęcią przyjąłem, gdyż w czwartki podają w hotelu pod białym łabędziem kapustę, a z tego powodu gromadzi się tam cała śmietanka towarzystwa. Kwa-

śna kapusta jest prawdziwie narodową potrawą niemiecką, Niemcy ją wynaleźli, kochają i pielęgnują ją też z czułością, do jakiej są zdolni. Gdy Luden w swej znakomitej historyi Niemiec pisze o swej ojczyźnie: „że należy do najpiękniejszych krajów, których słońce wita w swym biegu. Widoki Niemiec są zachwycające, rozweselają i podnoszą ducha i umysł i wszystko tam jest, czego człowiek potrzebuje do utrzymania i rozwoju ducha” — pewnie myślał o kwaszonej kapuście. Powinien był to jednak otwarcie powiedzieć, a gdy tego nie uczynił, miejsce to dla wielu jest niezrozumiałem.

Gdy na drugi dzień przyszedłem do p. Lieberchena, by według umowy naszej przed obiadem zwiedzić miasto, ujrzałem go bardzo bladym i zirytowanym. Skarżył się przedemną, że z powodu hałasów, wyprawianych przez sąsiedniego lokatora, nie mógł usnąć przez całą noc. Niespokojny ten sąsiad, do bardzo późna mówił, krzyczał; wzdychał, śmiał się i hałasował jak opętany. Zapytałem prawnika, czy też prawo rzymskie z piątego wieku nie zawiera jakich rozporządzeń, na mocy których niewiecki podróżny wieku dziewiętnastego mógłby zaskarżyć swego współczesnika, który go niepokoi w nocy monologami? Odpowiedział: Na dziesięć przypadków jeden. Spodziewałem się tych słów i chciałem korzystać z tej sposobności, by zadrwić sobie z prawa rzymskiego, tak tam, gdzie w całej swej rozciągłości jest obowiązującym, jako też i tam, gdzie jest tylko pomocniczem. Niemcy, zawołałem, zawsze lubowali się w pomocy! Właśnie prawnik zamyślał

odpowiedzieć, gdy sąsiad w bocznym pokoju dał znaki życia. Stąpał po pokoju jak koń, śmiał się i wzdychał, a mówił tak głośno, że niektóre słowa i frazesy dolatywały przez drzwi do nas. Usłyszeliśmy: „Sierota po tajnym radzcy!... ach! my dobrodusznym niedźwiedzie!... Inspektor ogrodów... Radzca dworu ... głupiec Popo... ha ha ha! głupiec Popo... a bydlę, głupie; ciemne bydlę!...” Ostatnie słowa wymówił głosem wzruszonym prawie płaczliwym, Następnie rzucił czemś o drzwi z taką siłą, że tylko usłyszeliśmy dzeń, dzeń, dzeń i posypały się szczyrby jakby jakiej filiżanki lub fiaszki. Pan de Lieberchen zerwał się rozgniewany i chciał biec do sąsiada z kijem. Staralem się go uspokoić i przypomniałem injuria Webera. Napróżno; już chwycił za klamkę, gdy na szczęście nadszedł garson z czekoladą. Zarzuciłem go pytaniami, prawnik skargami na niespokojnego sąsiada. Garson uśmiechnął się, położył palec na usta, potem na czoło. Tą mimiką dał nam wyraźnie do zrozumienia, że potrzeba ciszej mówić i że nieznajomy cierpi na umyśle. Czem i kim jest nieznajomy, nie można się dowiedzieć, mieszka już w hotelu od sześciu tygodni, jest bogaty, ale głupiec. Bogaty i głupiec! Zdziwiony słuchałem. „Nie jesteś zapewne tutejszy?” — Nie, odpowiedział garson z przyjaznym uśmiechem, pochodzę z Regensburgu. Następnie opowiadał: Nieznajomy sąsiad mówi niewiele i z niewieloma, gdy jednak raz rozpocznie, wówczas prawi głośno i długo. Jest on przyjacielskim, dobrodusznym i w ogóle zachowuje się jak każdy rozsądny człowiek, chwilami

tylko miewa napady. Zwykle zdarza się to rankami, czasem przy obiedzie, a najczęściej wieczorem, gdy wraca z reursy. Byłem bardzo ciekawy poznać człowieka, który tylko trzy razy na dzień jest nierozumny i poprosiłem garsona, by nas przy obiedzie obok niego usadowił. Odpowiedział, że uczyni to z miłą chęcią, gdyż sam już nie wie, gdzie ma pomieścić nieznanego, którego towarzystwo niemiłym jest wielu gościom. Lecz musi to być jakiś niebezpieczny człowiek, gdyż niedawno radzca legacyjny pan Fistel, zawoławszy drugiego garsona, wsunął mu w rękę dwa dukaty i przyrzekł więcej, hyle pilnie zważał na wszystko, co dotyczy nieznanego i o tem go zawiadomił.

Biograficzne sprawozdanie garsona składało się z dwu części, z klasycznej i romantycznej. Część klasyczna, to jest ta, która dotyczyła podejrzeń pana radcy legacyjnego interesowała p. Lieberchena, romantyczna zaś mówiąca o dziwacznej rzetelności nieznanego była przedmiotem mych uwag. Tym sposobem myśli nasze, po odejściu garsona, wzięły zupełnie przeciwny sobie kierunek i żadna rozmowa zawiązać się nie mogła, mówiliśmy raczej sami ze sobą aniżeli do siebie. Korzystałem z tej sposobności, by naprawić wczorajsze wrażenie mianowicie byłem bardzo nudny; prawnik chwalił nadzwyczajnie moje dzieła i wkrótce usnął. Ten sen przedobiedni po nieprzespanej nocy nie naruszał grzeczności radcy i można mu go przebaczyć. Śpi. W tej chwili upraszam wszystkich młodych powieściopisarzy, by pilnie zwrócili swą uwagę na moją osobę, by się na

uczyli, co ma czynić pisarz doświadczony, gdy bohater powieści usnie. Obudzić go, by rozwijać dalszą akcyę, byłoby w tym wypadku nietylko nie-ludzkością, ale i w każdym innym przeciwnem wszelkim prawidłom epicznym i dramatycznym. Gdy bohater powieści lub tragedyi zasypia, musi mieć powody i przyczyny po temu; jest sennym, przyroda działa to w pewnych zamiarach, a więc i sztuka, która przyrodę naśladuje, nie powinna go budzić, póki się nie wyśpi. Wprawdzie każdy artysta naśladuje naturę tak jak mu się ona przedstawia, a przedstawia się mu taką, jak jest w możności i sile ją naśladować, lecz naśladować musi ją zawsze. Gdyby p. Lieberchen spał ośm dni, nadto wiele posiadałbym poczucia estetycznego, bym go obudził; przeciwnie spacerowałbym cichutko po pokoju, rozmyślałbym i notowałbym moje myśli w dzienniku, jak to jest moim zwyczajem. Tak też uczyniłem a myśli, które mnie wówczas opadły zamierzam tu pomieścić dla czytelników, nie są to owe spisane w notyskę ołówkiem, lecz przepisane na czysto atrameum. Czytelnicy, którzy mnie nie znają i nie wiedzą, jak dalece jestem rzetelny i sprawiedliwy, być może, iż mnie posądzą, że umyślnie wyszukałem sobie taką sytuacyę, sen prawnika, moje myśli i wszystkie te międzyakta, by powiększyć objętość mego dzieła n. p. tak do dwudziestu arkuszy; czytelnicy bardzo się ci mylą. Wprawdzie wiem dobrze, że książka staje się pełnoletnią przy dwudziestym arkuszu, gdyż przyjmuje się w politycznej toksikologii jako zasadę, iż substancya literacka działa na równi z homeopatycz-

nem lekarstwem w małych tylko dozach, wprost przeciwnie jak się to dzieje przy truciznach. Lecz nie uczyniłem tego, z tych powodów. Nie obawiam się cenzury, gdyż mógłbym popisać tak straszne rzeczy, że każdy niemiecki cenzor ze strachu nie potrafiłby przekreślać. A więc spisuję moje myśli nie w zamiarze podstępu, lecz li dlatego, iż je rzeczywiście miałem. Pierwszą moją myślą było: myśli, które mieć będę, wydrukować, a drugą myślą: jak nazwać te moje przyszłe myśli? Miałem następujący wybór: Myśli, miscella, rozmaitości, ecdota, apophtegmy, zebrane listeczki, wióry, fraszki, potpourri, z życia, sztuka i szkoły, różności; opiłki myśli, owoce czytania, słodycze czytania, pokłosie, przeglądy, rozbiory, refleksye doświadczenia, barwne kamyki, mój kalejdoskop, fragmenta, myriomorphoskop, drobnotki, sierotki, podrzótki, krople żołądkowe, mozaika, to i owo, barwy czasu, uwagi, plany, z ducha i z oczu, gra myśli, glony, kwiatki i liście z zeschniętego drzewa i świeżego ryżu, arabeski, rapsody, obrazki, własne i obce, aphoryzmy, własne i przywłaszczone, pamiątki życia, proza okolicznościowa, jesienne liście, ekscerpta Dr. Lenkslos¹⁾, lecz wszystkie te tytuły były przez innych używane i wolę być nagim z własnymi błędami, niż ozdobionym cudzemi piórami, z tych powodów nazwałem moje myśli: *Knedlami*. Miałem następujące knedle.

1) Dosłownie „bez kierunku”.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Straszną jest zazdrość kochanka, lecz żądza władzy jest straszniejszą. Zazdrosny podejrzliwie czuwa dzień i noc, odmawia sobie potrzebnego spokoju, a przeciw senności używa codziennie silniejszych środków drażniących. Ten sposób życia czyni ją gniewną, kłótliwą, wreszcie chorą. A gdy jest chorą, wówczas pielęgnuje się w łóżku. Dziwaczne urządzenie, a jednak nie bez przykładu. Diodor pisze, że gdy kobiety na wyspie Korsyce odbywają poród, mężczyźni, ich mężowie, kładą się do łóżka i przyjmują odwiedzających. Jakże znakomici są ministrowie!

Biblia jest konstytucją chrześcijańskiego państwa, i stąd tu niechęć duchownej oligarchii oddania jej w ręce ludu.

Gdyby księża uzyskali to wszystko, co my tracimy — ha, wówczas patrzylibyśmy się, jak sobie radzić z wejściem do królestwa niebieskiego, my ludzie moglibyśmy im przebaczyć. Lecz gdy my tracimy tak wiele, a oni zyskują tak mało, gdy zabierają nam więcej chleba, aniżeli go spożyć mogą; gdy niszczą nasze najpiękniejsze, najdroższe bogactwa i dobra, byśmy tylko radości nie zaznali; gdy odbierają i zatruwają nam rozkoszną wiosnę, lato pełne życia i jesień plenną w owoce, a zimę sprowadzają czarnoksiężkami sztuczkami, a wszystko to czynią dla lichego balu — to nas boli, oburza najspokojniejszego, to czyni nas nieprzejednanymi.

Doświadczenie jest podobne nieubłaganej piękności. Lata mijają, zanim ją pozyskasz, a gdy w końcu ją posiędziesz, oboje jesteście starzy i nie możecie z połączenia korzystać.

W Niemczech są ludzie tak uporządkowani jak książki w bibliotekach. Wielkie i ciężkie na dole, lekkie i małe na górze. Musimy się schylić, by się dostać do człowieka miary folianta, a spinać się po duszę ułamka dziesiątego. Górne sfery niemieckie są ładnie oprawne ze złotymi tytułami, niższe są również oprawne, ale podobne wieprzom bez oglądy zewnętrznej.

Tajemnica każdej siły polega na świadomości, że inni są bardziej jeszcze tchórzliwymi od nas samych. Niemiec lubuje się w skromnych przywilejach, umiarkowanych pragnieniach, łagodnych naganach i w cichych wyrzutach. Z tego powodu, chcąc na nich podziałać, potrzeba mową i piórem gwałtownie walczyć, stawiać olbrzymie żądania, surowo karcić i głośno narzekać. Miarkujcie się bowiem od minimum, czytelnik niemiecki zawsze zmniejszy wasze umiarkowanie. Nie może on sobie odmówić przyjemności targowania się, dlatego trzeba podobnie kramarzom towar przeceniać. We wszystkim potrzeba miarę przekroczyć, gdyż Niemcy mają na sobie skórę słonia, nie czują delikatnego dotknięcia, trzeba uderzyć drągiem po żebrach.

Ubóstwo jest w życiu ludzkim ławą piaszczystą, bogactwo skałą. Szczęśliwi omijają oboje. Przed ubóstwem ochronić nas może własna siła, przed bogactwem łaska Boga.

Voltaire okazał się przed rewolucją, jak błyskawica przed grzmiotem.

Życie jest rzeką a sen życiem zaziemskim. Gdybym miał urządzać niebiańską nagrodę, raj i piekło, karałbym i nagradzałbym we śnie. Wówczas nie rozpaczałaby cnota, a pokuta nigdyby zapóźno nie przyszła.

Wielu rzeczom wcale się nie dziwię, lecz by dwaj dyplomaci przy spotkaniu nie rozśmiali się sobie w oczy, nad tem co dnia się dziwię.

W długiej nocy wieków średnich była wiara światłem polarnem.

Nie jeden uczony podobny jest do kasjera bogatego bankiera, posiada on klucz do wielkich sum, lecz pieniądze te nie są jego własnością.

Sentymentalni burzą i mącą tak długo swe uczucia, póki się piana nie utworzy; a wówczas sądzą, że ich serce jest przepełnione. A jednak jest to tylko powietrzem, jest niczem.

„Dlatego djabeł upadł, ponieważ się zatrzymywał w połowie drogi, w chmurach — w przeciwnym razie zostałby Bogiem”. Tak mówi udważny Aetius w *Attyli* Wenera. Gdybym był ministrem zapamiętałbym sobie te słowa. Ogłosiłbym otwarcie rozum za rewolucjonistę, mowę za przywilej najwyższy, pisanie za zdradę stanu, a skubanie gęsi za *przygotowanie się do zdrady stanu*.

Ministeryalizm nazywają rojalizmem, a panowanie duchowieństwa teokracją, a kto ściąga koldrę ze śpiącej prawdy — tego nazywają burzycielem spokoju.

Dzieje ludów i państw przyniosły korzyść pieniężną autorom i księgarzom, o innych korzyściach niewiem.

Bojaźliwy człowiek jest najniebezpieczniejszym, takiego najbardziej należy się obawiać!

Gdy Jupiter przysięgał na Styx, dotrzymał słowa, a Olimp nie miał popa.

Wprawdzie widzieli, że słońce wschodziło pierwszego stycznia i drugiego, i trzeciego, lecz teraz zbliża się czwarty styczeń, który jeszcze nie minął, a wówczas sądzą, że tu zachodzi szczególny przypadek, a ponieważ tak mądrze myślą i rozsądnie rozróżniają, uważają się za wielkich mężów stanu.

Kto narówni z zrozpaczonym graczem, straconą stawkę nieustannie podwaja, taki wreszcie, gdy placu dotrzyma, raz wygra; lecz zysk nie równoważy straty, i znów przyjdzie dnia następnego, aż w końcu odejdzie bez grosza.

Gdy los woła: *le jeu est fait, Messieurs!* mało kto zważa, lecz gdy usłyszą: *rien ne va plus!* nabierają ochoty, lecz niestety zapóźno.

Gdybym stał u każdych drzwi, każdego tajnego gabinetu Europy — podsłuchiwałbym wprawdzie, lecz nie z ciekawości, tylko dla zabawki.

Niema człowieka, któryby nie miłował wolności; lecz sprawiedliwy żąda jej dla wszystkich, a niesprawiedliwy dla siebie.

Choroby rządów; uznają zawsze jako *astheniczne* i zadają wzmacniające środki; choroby narodów bywają uważane jako *stheniczne*. Jest to system poli-

tyki Browna, dalej go nie doprowadzono, a do mylności systemu i zasad przyłącza się mylność zastosowania.

Kto zna i uznaje prawo natury w historyi ten może prorokować; kto je niezna, ten niezna jutra, choćby był i ministrem.

Przed burzą, choćby najbardziej niespodzianą, wieje ostrzegający wietrzyk, lecz cóż może nas ostrzedz przed kapryсами kobiet?

Nasz wiek jest niekorzystny dla nauk, gdyż tak wiele objaśniamy, że niemamy czasu widzieć światła.

Gdyby natura podlegała tylu prawom co państwo, sam Bóg nie mógłby się nią rządzić.

Możnaby obliczyć, że lotry ciągną większe korzyści z mieszczaństwa, niż ludzie rzetelni.

Kawalerowie marcowi sądzą, że ich będą za młodych uważać, gdy obiorą się w letnie spodnie.

Aby się przekonać, jak uciążliwym podarunkiem Niebios jest rozum, potrzeba dzień w dzień chodzić z parasolem, a przy końcu roku należy policzyć nieprzewidziane dni dżdżyste.

Gdyby dawne czasy zakonserwowano w cukrze, a nie w occie, możeby się lepiej podobały. Lecz może i lepiej, że byli na tyle głupi i że pierw już smak odrzuca, co późniejszy sąd potwierdza.

Największa ilość ludzi dla tego jest niezadowoloną, że najmniejsza ilość wie, iż różnica pomiędzy jednostką a niczem jest większą, aniżeli pomiędzy jednostką a tysiącem.

Nic nowego nie ma pod słońcem. Nasi dzisiejsi mężowie stanu używający tak dziwacznych środków by poskromić żądania ducha czasu, naśladowają w tem francuzkie duchowieństwo średnich wieków, które chcąc odwrócić klęskę głodową zarządziło posty trzydniowe.

Tylko w epoce dziecięcej istnieje piękne życie nieśmiertelne; starych liczymy i spostrzegamy ubytki śmiertelne.

Znaleźć swe szczęście! dobra rzecz — ale być za razem szczęśliwszym? Czy jesteś szczęśliwym gdy znajdziesz swe szczęście? Zastanów się dobrze. Nie możesz być dobrym, grzesz — nawet w powiększającym zwierciadle grzechu odnajdzie się rys twej boskiej natury — lecz grzesz dla twej korzyści, a nie dla cudzej. Pędź w rozkoszy twe dni, graj o same niebo — w twej dumie będą podziwiać twą odwagę, nawet w bezczelności widzieć i cenić będą twą zarozumiałość. Oddaj się djabłu, niechaj cię obdaruje równocześnie nasyceniem i pragnieniem zmysłów; niechaj ci otworzy źródło, które syci nieustanne pragnienie wiedzy. Zerwij odważnie pieczęci natury, nwołnij więzione duchy, sprowadź je i zdobywaj świętości pobożnych praw; zostań rozbójnikiem, gdy jesteś ubogim; okradaj twój skąpy los, i twoją matkę, naturę — jeśli matką miłością otacza twego gorszego brata, a ciebie odtrąca. Używaj swych sił, zużywaj je, trać — Bóg jest dobroczynnym i bogatym ojcem, a gdy skruszony wrócisz, może ci przebaczy i na nowo obdaruje, Lecz *używaj* twej siły, nie gardź nią, nie niszczyć jej u siebie i u drugich.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Jeśli żywo odczuwamy i chętnie przetrzepalibyśmy niedościgłe osoby, wówczas bardzo łatwo wpadamy w głośny monolog — z tej to przyczyny te ciche spokojne rozmowy bohaterów naszych wzorowych powieści, gdzie bohater tchórzliwy a świat jest straszliwą bestyą, i prawdopodobnie byłbym deklamował długo i głośno, gdyby naszcześnie nie obudzili się prawnik na odgłos mych słów, a tem samem niepowstrzymał mych zapałów. Skoczył on na równe nogi, czerwony ze snu i złości i zapytał: czy znów krzyczy ten waryat? Nie, odpowiedziałem pokornie, to ja mówiłem. Wówczas usiadł i ziewał. Mój kochany czytelniku! Jeśli cię nudzi mój uczony prawnik, a coś podobnego przypuszczam, a ty z grzeczności ukrywałbyś to przedemną, wierz mi, niepodziękowałbym ci za te względność, którejbym nie potrafił odplacić. Pozwól, byśmy byli wzajem dla siebie otwarci. Przyznaję się otwarcie, że mnie samemu nawet radca dworu z środkowych Niemiec jest nie miłym, i sam nie wiem, co mam z nim począć. Należy on do ludzi, względem których zachodzi wątpliwość, czy można ich jeść w poście, czy też nie? Ma on serce i głowę i matka go karmiła jak i nas, lecz jego krew czerwona jest zimną, a zamiast kości ma on ości, które są bardzo giętkie, ale też bardzo kłują. Nie ośmieliłbym się go nadpocząć i z tego to powodu każę mu jutro wyjechać pocztą do Strasburga, chociaż pierwotnie miał w Frankfurcie ośm dni pozostać. Jak to dobrze być powieściopisarzem!

Podoba się im kto, tego przywołują, nudzi ich kto, tego wysyłają. Potrzebują pieniędzy — oto jednym pociągnięciem pióra otrzymują miliony; stwarzają pogodę, nagradzają wierną miłość a rywala usuwają w najpiękniejszy sposób. We wszelkich uroczystościach biorą udział; niedolę i najstraszniejsze bitwy widzą pewnie i wygodnie ze swego okna. Z tego naucz się, łaskawy czytelniku, że chcąc być szczęśliwym należy życie uważać jako romans. Uważaj twe cierpienia jako drukowane, wówczas będą ci mniej dokuczać, w takim razie nawet łyzy będą miały swą dobrą stronę, nawet boleści swe słodycze a wreszcie pozostanie ci zawsze nadzieja dobrego końca choćby ci się i najgorzej powodziło; gdyż z ostatnią kartą, tracisz nadzieję lecz zarazem i życie.

Było już pół do pierwszej; mieliśmy pół godziny do obiadu, a mój projekt zwiedzenia giełdy został przyjęty. Gdyśmy weszli do sieni, ujrzałem idącą przed nami jakąś długą, szczupłą postać, która zdała mi się znajomą; osoba ta szła szybko tak że musiałem pospieszyć, by ją dogonić. O nieba, o radości! Wszak to Henryk Waller, to mój długi ukochany Henryk, mój niezapomniany towarzysz z Montmorency. Przystąpiłem do niego, sięgałem mu do serca a łyzy błyszczały mi w oczach. I w jego również coś się zaszklilo, ale co to było, któż odgadnie? Jego surowe i łagodne rysy twarzy były oddzielone od siebie jak ocet i oliwa a jeśli gwałtowne wzruszenie je zmieszało, to nie trwało i minuty a znów się rozdzielały. Podałem mu moją małą rękę, którą ukrył w swej wielkiej i skrycie uściśnął

„Do diabła, jakim sposobem jesteś tutaj?” — zawołał. Pierwsze i ostatnie słowo Henryka jest diabłem, a często włoży go w środek; nikt bardziej od niego nie używa w mowie diabła a mniej go ma w sercu. Zdziwił się widząc mnie w Frankfurcie, gdyż nigdy mnie nie pytał o moje miejsce rodzinne chociaż przez cały rok pobytu we Francji byliśmy nierozłączającymi się towarzyszami. Ilekroć go zapytałem z kądby był, odpowiadał: z płaszczyzn niemieckich i dopiero później dorozumiałem się, iż chciał tem powiedzieć: *płaski Niemiec*. Co więcej, gdy orientalista Langlès w Paryżu pytał go raz z jakiegoby był kraju, słyszałem odpowiedź: *Je sui du pays des philistins*, a grzeczny Francuz uśmiechnął się, jakoby zrozumiał.

Idąc po rozpalonym i pełnym kurzu bruku nieskrapianego nigdy wodą chyba deszczową, — stróże... byli zbyt głupimi, by ich o to prosić, wspominaliśmy z Henrykiem owe piękne wiosenne dni przeżyte w Montmorency, naszych przyjaciół Saulier i Cope i jak często z niemieckiego kwasu, francuzkiego cukru i angielskiego alkoholu przygotowaliśmy rozmowę, która nas jak poncz rozgrzewała i ożywiała. Mówiliśmy o różnych rzeczach a w pośród mnóstwa pytań bez odpowiedzi, zeszlśmy na Braunfelsa. Wróćmy się, zawołałem, giełda już zamknięta. Naprzeciw nas szli tłumnie, po dwunastu, dwudziestu żydów środkiem ulicy, zostawiając chodnik dla nas biedaków. Jakiż to naród liberalny, jak lubi otwartość! Nic nie mają skrytego, wszystko mówią na ulicach. A co za uczony naród! Cóż jest bardziej przykład-

nego, jak owe niezliczone liczby, które składają ich rozmowę przy pomocy nóg, rąk, łokci i głowy! Spostrzegłem między nimi wielu mych dobrych przyjaciół, przystąpiłem do nich i życzyłem im szczęścia. Dziękowali, uśmiechali się i uderzali ręką po kieszeniach. Waller chciał się dowiedzieć, co też szczęsnego przydarzyło się hebrajczykom! Odpowiedziałem mu, że wczoraj otrzymali oni tak długo upragnione pozwolenie do żenienia swych dzieci. „Jakto, zapytał Henryk, czyżby pragnęli żenić się w blizkich stopniach pokrewieństwa?” — Nie, odpowiedziałem, lecz tu nie wolno żadnemu żydowi się żenić bez pozwolenia. — „Czy zdarzają się wypadki, by im odmówiono?” — Jest prawem, że wszystkim żydom zakazuje się małżeństwa, wyjąwszy piętnastu par rocznie. — „Ależ to haniebnie, to prawdziwa rzeź betleemska.” — Wcale nie, przeciwnie, powinniśmy się cieszyć postępem ludzkości, który nawet sztukę mordowania wydoskonalik. Czyż można w łagodniejszy sposób zabijać, aniżeli przed urodzeniem się dziecka? Nie ma jeszcze czteru tysięcy lat, gdy egipski Faraon powziął podobną myśl państwowo ekonomiczną, by umniejszyć ludność żydowską, lecz chrześcijaństwo ma łagodniejsze środki, zakazuje małżeństw. — „Chrześcijaństwo? Czyż wy ludzie? czy my chrześcianie?” — Ach i jacy jeszcze! Mamy tak gorliwych protestantów, którzy widząc bawiących się współbywateli co chwila oczekują losu Sodomy i Gomory, kościół katolicki uważa ją jako babilońską metrese, gdyż dozwala on w dniu święteczne sprzedawać corocznie. Mamy również i pobożnych kato-

lików, którzy uważają się za świętych, gdyż czują się uwolnieni z posiadania rozumu. — „A sprawiedliwość, a ludzkość?” — Sprawiedliwość, ludzkość, mój dobry Henryku, są to świeckie rzeczy, z którymi dobry chrześcijaństwo nic nie ma do czynienia, gdyż on myśli tylko o niebiańskich. — „A żydzi, cierpiąc podobną zniewagę czyż oni mileżą?” — Kurs złota i akcje przynoszą im co najmniej pięć procent a nieprocentujący honor jest dla nich głupstwem. — „Jaki pan, taki kram, krzyknął Henryk i zacisnął dłoń, o Boże, Boże!” — Ja znałem już tę zbrojną modlitwę.... Usłyszeliśmy dzwonek obiadowy. Alep, Bet, Lamet, Kuf i wielu innych żydów spotkaliśmy pod łabędziem, przyszli tam oni z powodu kwaśnej kapusty. Ci szlachetni goście przepadają za wieprzowiną, mają oni podwójny apetyt raz za siebie a powtóre za swych zmarłych przodków, którzy z pobożności nie jadali wieprzowiny — jest to jeszcze jeden rys ich dziecinnej miłości!

Bardzo rad byłem z obiadu, gdyż czas przedobiedni był nader długi! Usiadłem pomiędzy Wallerem a uczonym prawnikiem rozdzielając ich rozmyślnie. Pan de Lieberchen, będąc uczonym prawnikiem studyował prócz tego ekonomię państwową i wykształcił się na zdolnego urzędnika. W niespełna jednej godziny dowiedział się on więcej o stosunkach Henryka aniżeli ja w przeciągu roku. Henryk był otwarty jak morze, ale pan von Lieberchen nie dał się tem ująć, gdyż wiedział, że często z chytryści chowamy nasze skarby w otwartych szafach. Pytał i badał więcej niż przystoi, a Henryk odpowiadał i od-

powiadał więcej niż należało. Z tego też powodu przeszkodziłem tej indagacyi. Naprzeciw nas siedział radzca legacyjny von Fistel, którego bardzo lubię, gdyż umożliwił mi on wygranie zakładu. Mianowicie założyłem się z jednym z mych przyjaciół, że podczas obiadu zadam panu radzcy legacyjnemu sto różnych pytań a na żadne z nich nie otrzymam odpowiedzi tak lub nie. Zakłady wygrałem. P. von Fistel i Waller zdawali się być znajomymi i pozdrowili się, lecz Henryk się nachmurzył. „Niech go diabeł porwie”, szepnął mi na ucho a później po kilku szklankach wina dodał: „Właściwie powinienem być mu wdzięczny, gdyż irytuje on mnie w miarę a tem samem przyczynia się do lepszego trawienia, lecz choćbym go przycisnął do mego żołądka, nie przycisnę go do serca, chociaż wygląda jak człowiek. Czyż on nim jest? Zwykły lokaj nosi czerwony lub żółty kołnierz, stoi za krzesłem swego pana, lecz drwi sobie z niego, i myśli samodzielnie. Ale taki lokaj jak on! Całe jego wnętrze tkwi w jego liberyi, jak on sam, jego głowa i serce otrzymują krój z ręki obcej, co ma myśleć, czuć, mówić, zamilczeć, wszystko według przepisu. Gdy chce kichnąć, musi wpierw zajrzeć do swej instrukcyi. Wczoraj zapytałem go, co nowego przywiózł Rothschildowi kuryer z Paryża? Całe miasto o tem mówiło. „Co? czyż przyszedł kuryer?” zapytał pan von Fistel. Otóż tak brzmiała jego odpowiedź. Gdybym go zapytał, gdzie pan byłeś podczas wczorajszej burzy? — zamiast odpowiedzi zapytałby się: Jakto, czyż wczoraj grzmiało? A ta jego mowa! Jak on

zacznie szeplenić i pieścić się! Mówi tak cicho, że, każdej chwili może powiedziane odwołać. Ce language desossé o mdłości mnie przyprawia, to na kształt zupki wodnej dochodzi do uszu i nie słuchając, usłyszysz. Niedawno wymknęło mu się z ust piękne, pełne słowo: *Do pioruna!* Zdziwiłem się ucieszony pogodziłem się z nim, lecz to słowo wycisnęła mu podagra i z bólu się zapomniał; następnego dnia nie przyszedł i przez ośm dni leżał w łóżku".

„W jakiej służbie pozostaje p. radzca? zapytał mnie uczony prawnik. Wobec niego lubiałem sam bawić się w dyplomata, więc mu też odpowiedziałem: w — skiej służbie — wymawiając głośno przymiotnikowe zakończenie a połącznawszy nazwę kraju. — „W jakiej służbie?” — w — skiej służbie odpowiedziałem z zimną krwią po raz drugi. Prawnik chciał mnie pytać po raz trzeci, gdy zjawiła się na stole olbrzymia pieczeń sarnia i wszystkie rozmowy ustały. Podczas tych minut wakacyjnych, gdy nic słuchać, nic odpowiadać nie miałem, przypomniałem sobie waryata z dzisiejszego poranku. Zawołałem kellera i zapytałem go, gdzie jest waryat? — „Wszak tu siedzi”, szepnął mi. Obejrzałem się i ujrzałem samych tylko znajomych. Ale gdzie? — „Ach, obok pana!” — Jakto, mówiłem powstając z krzesła, przecież nie pan Waller? — „Właśnie pan Waller”. — A to doskonale! pomyślałem sobie, i cieszyłem się już naprzód uciechą Henryka, gdy się dowie o swym tytule. Lecz obecnie nie chciałem mu przeszkadzać w czytaniu urzędowej gazety. Garson, który mi opowiedział o waryacie sprzątał ze stołu i przez nie-

uwagę trzymając sześć półmisków w ręku, z jednego wylał na głowę Henryka pyszną podlewę budyniową z araku, ta spłynęła po włosach i zalała czytanną przez niego gazetę. Henryk roześmiał się głośno, prawie krzyknął z radości i wołał: „Popow, Popow jest mokry, cały Popow jest mokry!” Wszyscy zdziwieni spoglądali na niego i pytali: Jaki Popow, co? gdzie? Sam nawet radca legacyjny śmiał się i pytał. „Jako panie radco legacyjny? zapytał Henryk z najpoważniejszą w świecie miną, jako pan o tem nie wiesz? Nie wiesz pan, że kupiec Popow został radcą handlowym? Oto czytaj pan. — Von Fistel przeczytawszy, ubrał swą twarz w powagę i rzekł; „Prawda, to rzecz bardzo ważna, bardzo chwalebna; dla zachęty stanu kupieckiego, kupiec Popow, został mianowany radcą handlowym”. — „A więc napelnijmy kieliszki i pijmy zdrowie jego! odrzekł Waller, Szczepan Popow niech żyje! I Jakób Filatow niech żyje, on także został radcą handlowym! A teraz jeszcze jedno zdrowie! Czeladnik garbarski z Kassel, który wyratował panią z Mutzig niech żyje!” — „Pani Mutzig, Mutzig, mówił radzca trąc czoło, familia mi znana gdzieś!” — „Niech się pan nie trzodzi, zauważył Henryk, ona nie jest *de* Mutzig, ale z Mutzig, ona jest praczką. Oto czytaj pan”. — „Praczką z Mutzig wpadła do rzeki i pewnieby utonąła, gdyby nie czeladnik garbarski z Kassel, który ją wyratował...” I cóż pan na to, że inspektor ogrodowy w.... ach gdzież to?.... a to wczoraj było.... mniejsza z tem, dość że inspektor ogrodowy został radcą dworu. Niechaj żyje! Lecz jakie to interesu-

jące rzeczy i nowiny podaje codziennie wasza gazeta urzędowa, jakie to pouczające!" — „Tak jest, odrzekł radzca legacyjny, z wielką oględnością jest ona redagowana". — „Z oględnością i względnnością, łaskawością i pokornością, wtrącił Henryk, otóż np. wczoraj pisała.... Zaczekajcie chwileczkę, moi panowie, natychmiast przyjdę".

Henryk wyszedł i wkrótce wrócił z kasetką opatrzoną mosiężnym zameczkiem. Wielu z gości (a już było po obiedzie, otoczyli go kołem, ciekawi co zawiera kasetka. Nawet niektórzy żydzi przystąpili. — „Moi panowie, zapytał Waller, czy mógłby mi kto z was powiedzieć, jak stoją losy darmsztedzkie?" — „Trzydzieści pięć, odpowiedziało mu chórem siedmiu żydów, z rzadką zgodnością liczb i deklamacyi. Wówczas otworzył Henryk kasetkę i wyjął — dzienniki, nie więcej tylko dzienniki. Żydzi drwiąco się uśmiechnęli i odeszli. Waller usiadł, rozłożył gazety i rzekł co usłyszymy w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

„Moi panowie, jestem przyzwyczajony sam mówić i nie ścierpię sprzeciwienia się, gdyż zawsze mam słuszość! Kto mi przerwie, tego będę uważał za burzyciela spokoju, a według okoliczności za demagoga. Widzę, że się pan dziwisz, panie radco legacyjny, lecz mnie to nie dziwi, gdyż tylko jedno mnie dziwi, iż dotychczas nie zostałem ministrem. Pan, panie radco, jesteś również mężem zasługi i daleko pan zajdziesz. Lecz chociaż pan nie osiągnąłeś naj-

wyższego szczytu swych zaszczytów, jednak wiem, iż pan gardzisz opinią publiczną i podzielasz moje zdanie, że Tacyt nic nie wart, chociaż go świat cały chwali. Znasz pan jego Germanię, jak on ją chwali! Lecz cóż z tego? Tu, moi panowie, tu jest gazeta urzędowa, to jest prawdziwa Germania. Piękniej i dokładniej poucza nas ona od Tacyta o niemieckich zwyczajach, obyczajach, religii, państwowych urządzeniach i rządcach. Chwałą styl lapidarny Tacyta, lecz w gazecie urzędowej tu dopiero prawdziwy styl lapidarny. On potrzebował kilka rozdziałów do opisanie Niemiec, ta potrzebuje jednego słowa. Oto opowiada nam we wczorajszym numerze, że pewna panna w Wiedniu otrzymała legat^o po zmarłym poecie, Nie to, że biedne dziewczę było bez ojca i matki, nie to, że szlachetny człowiek zapisał jej majątek, to nie wzrusza Gazety Urzędowej, lecz że dziewczę jest *sierotą po tajnym radcy*, to wyciska jej łzy. *Sierota po tajnym radcy!* Czyż w tem słowie nie zamykają się dzieje Niemiec, jakimi były i są? Nie wiem, czy wiecie, moi panowie, że ja dzielę Niemców na dwie kategorie! Na radców dworu i takich, którzyby nimi zostać pragnęli. Lecz jest to rzeczą bardzo smutną; jak mało jest radców dworu, a ilu by pragnęło zostać nimi! Ach, gdybym ja był niemieckim księciem, inaczejby było. Uszczęśliwiłbym wszystkich mych poddanych, zamianowałbym ich wszystkich radcami dworu a przynajmniej dworku. I to bez różnicy stanu, urodzenia, bogactwa, rodzaju, wykształcenia i wieku; wszyscy musieliby być radcami dworu. Wielcy i mali, obywatele i urzędnicy,

ubodzy i bogaci, mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy, wykształceni i głupcy, poczciwi i łajdaki. Gdy umrze kto we Frankfurcie, a był doktorem i miał taki i owaki tytuł nie zaniedba gazeta je wymienić i niema przykładu od czasów Karola W. by którykolwiek tytuł był przepomniany. Lecz gazeta wie dobrze, że człowiek a zwłaszcza dziennikarz jest grzeszną, ułomną, omylną istotą i z tego powodu przed szeregiem tytułów stawia litery S. T. Lecz cóż z tego? iluż to ludzi posiada tytuły? W Niemczech zaledwie dziesiąty? Gdybym jednak ja był księciem, wówczas byłoby inaczej, byłaby to rozkosz żyć i umierać w Niemczech. Wówczas czytano-by w gazecie: „Dnia 13 b. m. zmarł S. T. Pan Radca Dworu po krótkich cierpieniach przy powieszeniu w 36 roku swego czynnego życia”. Jakżeżby się to przyczyniało do powiększenia miłości ojczyzny! Któryż inny naród zasługuje bardziej na wypełnienie swych życzeń aniżeli niemiecki. Czy jego miłość tytułów nie udowadnia, że to naród poczciwy, wierny, posłuszny, że nad bogactwo i piękność, nad cnotę i mądrość i siłę, że nad wszelkie dobra, któremi go natura obdarzyła ceni te, które płyną od rządów? I nietylko w stanach wyższych, oświeconych istnieje miłość i uwielbienie tytułów, nawet w najniższych warstwach narodu widzimy to samo. Nie wiem, panie von Lieberchen, czy słyszałeś pan kiedy o *Jung-Stilling* ¹⁾ — był to marzyciel, lecz chociażby pan

¹⁾ Jung-Stilling, dosłownie: od młodu milczący.

o nim nie nie słyshał, to wiadomo panu, że był on radcą dworu. Ten marzyciel i radca dworu Jung-Stilling został w kilka lat po śmierci swej żony prorektorem przy uniwersytecie w Marburgu. Wówczas odwiedziło go kilku przyjaciół z dalszych okolic, chciał on pokazać im grób swej ukochanej żony. Poszli na cmentarz; tam stary grabarz pokazał im grób dawno zmarłej i rzekł uroczyście: „Tu spoczywa świętej pamięci pani radczyni dworu a obecnie pani podrektorowa uniwersytetu”. Jakiż to piękny rys miłości ojczyzny i poszanowania tytułów — znajdziecież podobny w Plutarchu innego jakiego narodu na ziemi! Jechałem pocztą do Lipska i w chwili gdy konie zmieniano spostrzegłem, że mi brakuje czapeczki podróżnej. Potrzebowałem innej i zwróciłem się do służącej, by mi sklep wskazała. Ta zaprowadziła mnie do pokoju przejezdnych gości i zwracając się do małej, starej, kulawej kobiety, rzekła: Pani *nadkonduktorowo*, oto ten pan *chcę* czapki. Tylko jednej potrzebuję, dodałem. Wkrótce potem przybyłem do miasta głównego na czas dłuższy. Zaproszony przez kupca na obiad, przyszedłem trochę za wcześnie zabawiłem się tedy odczytaniem drukowanych kart z nazwiskami gości, które na talerzach rozłożone były. Siedzieliśmy w następujący sposób: począwszy od mej prawej strony a kończąc na lewej ja, pani nadradczyni sądowa, pan radca skarbowy, pani nadkasyerowa, pan intendent dworskiego teatru, pani rejentowa dworu, pan nadkassyer, pani tajna radczyni legacyjna, pan radca wyższego trybunału, pani tajna radczyni, gospodarz, pani dyrektorowa

podatków, pan nadradca sądowy, pani radczyni skarbową, pan nadkontroler podatków, pani intendentowa dworskiego teatru, pan rejent dworu, pani asesorka kolegiatna, pan burmistrz, pani burmistrzowa, pan radca tajny, pani asesorka policyjno-sądowa, pan dyrektor podatków, gospodyni, pan radca stanu, pani inspektorowa salin, pan inspektor salin, pani nadkonduktorowa podatków. Pani asesorka policyjno sądowa była wdową; ja siedziałem pomiędzy dwiema ślicznymi kobietami. Pani nadradczyni sądowa była najłagodniejszą, najmiłą istotą na świecie, pani nadkontrolerowa podatków nadzwyczaj interesującą, zakochałem się w obudwóch. Za ledwie mogłem się od łez powstrzymać patrząc na dobrego gospodarza i gospodynię, oni jedni byli bez tytułu, ale pocieszałem się tem, że byli francuzami więc mniej odczuwać musieli swe upośledzenie. Podobnie jak w naturze nie ma próżnego miejsca — chociaż jako chrześcianin wierzę, panie radco legacyjny, w siły nadnaturalne — tak też według niemieckiej historyi naturalnej nie ma miejsca bez tytułu. Delikatna, niewidzialna, eteryczna substancja tytułarna przejmuje na wskrós wszystkie stworzenia, ona je ożywia, rozognia, ogrzewa, karmi i utrzymuje przy życiu. Ona przenika całe nasze jestestwo, duch i serce, myśl i uczucie, życzenie i nadzieje, obawy, wspomnienia i oczekiwania. Ona ożywia wszystkie części naszej mowy, rzeczowniki, przymiotniki, czasowniki, przydawki, przysłówki i prepozycye, w deklinacjach i koniugacjach. Nazywają niemiecki naród *szero kim*, a właściwie powinniśmy go nazwać *wysokim*, gdyż

on wszystkich i wszystko podwyższa. Czasami rozciąga się on wszcz i mówi: od wszystkich czczony, od wszystkich kochany, lecz czyni to tylko wówczas, gdy już wyżej wznieść się nie może. Lecz jak długo istnieje możność wywyższania tak długo *podwyższa* swą wieżę miłości i szacunku. I tak mamy wysoko szlachetnie urodzonych, wysoko dobrze urodzonych i wysoko urodzonych ludzi. Jak również wysokie sądy i wysokie ministerstwo, wysoką intendenturę teatralną i mówimy o Wysokościach. Niemiecki naród ma wysokie trupy a księżniczka raczy z wysoka spojrzeć na młot żelazny. Przy dworze zdarzają się najwyższej wagi zdarzenia i książęta są wysoko wykształceni, a medal na pamiątkę Goethego wybity nazwano wysoko wykończony. A wiecież moi panowie dlaczego? oto Goethe jest wysoką osobą. Czy wiecie dlaczego Goethe nazwany jest wysoką osobą? Nie dlatego że był wielkim poetą, lecz iż był ministrem. Urzędowa Gazeta, nie sądzicie panowie, że zbyt późno do niej wracam, gdyż i na chwilę jej nie opuściłem, czyż mogłem ją pięknie chwalić, chwalić Niemcy? Urzędowa Gazeta nazywa się tak przez skromność tylko, lecz faktycznie jest ona Nadurzędniczą gazetą. Wszystkie rzeczki i strumyki płynące ze źródeł urzędniczych łączy ona w piękną, szeroką rzekę, która jest niemcom tak drogą jak Ganges indyanom. Lista mianowań i podwyższeń stanowych jest dla niej księgą rodzaju, pierwszą księgą Mojżesza; list gończy jest dla niej przepisem z kanonów; umieszcza go dobrowolnie, bez opłaty i nie wezwana w swym tekście. Co zresztą

się wydarzy na niebie, ziemi i w ludzkości o em opowiada ona w kilku apokryficznych wierszach, gdy ma po temu chęci i humor. Czy może kiedykolwiek Gazeta Urzędowa zaniedbać zawiadomienia nas o podwyższeniach stanowych, o wszystkich poruszeniach tytułowanej ludzkości? Przenigdy, nadto dobrze jest ona przeświadczoną o swem wysokiem i pięknem powołaniu. W tym numerze dowiadujecie się, moi panowie, że dotychczasowy dyrektor szkoły miejskiej w Lincu został zamianowany dyrektorem gimnazjum w Dören, tu że parmezański baron otrzymał order Leopolda a tu, że dworski junkier małego niemieckiego państewka otrzymał przydawkę „Ekscencya”. Urzędowa Gazeta oszczędza ludziom stanowiska opłatę porto listowego, nie potrzebują oni zawiadamiać swej rodziny o zaszłych zmianach. Ach chciałbym być kuryerem, wówczas moi przyjaciele dowiadywaliby się z gazety gdzie jestem, co robię i nienarzekaliby na moje lenistwo w pisaniu listów. Gdy umrze sługa państwowy wówczas gazeta otacza go takim szeregiem tytułów, że trudno dojrzeć nazwiska zmarłego. Oto czytamy: „Dziś rano o 6 godzinie zmarł tutaj królewski szambelan, właściciel cywilnego orderu zasługi, prezydent sądu apelacyjnego, poseł na zebrania stanowe królestwa, zwyczajny członek filologiczno-historycznego wydziału akademii nauk, etc, etc. Jaśnie Wielmożny....” teraz ma nastąpić nazwisko, lecz nim go dojrzymy wchodzi żona, służący lub ktokolwiekby inny, odkładamy gazetę i nie wiemy, kto właściwie umarł. Wprawdzie to zmniejsza nasz smutek. Spotykamy również do-

broduszne rodziny utytułowane, które romantycznie mieszczańsko grzebią swych członków bez wymienia tytułów; lecz sponiewierana przyroła mści się na nich, gdyż nie powinniśmy nigdy wbrew jej duchowi, wbrew sumienia działać. W takich to przypadkach czytamy: „*Dnia 6 Listopada wziął nam Bóg w Ratzeburgu, podczas odwiedzin u krewnych, dobrego, ukochanego ojca*” — tak to pogarda tytułów wiedzie szybko do bluźnierstwa Bogu! Urzędowa Gazeta zawiadamia nas wiernie i pilnie, że nowo narodzony książę dodał na chrzcie świętym imiona *Rainer, Ferdynand, Marya, Jan, Jakób, Franciszek, Ignacy*, a nowonarodzona księżniczka imiona *Marya, Augusta, Fryderyka, Karolina, Ludwika, Amelia, Maksymiliana, Franciszka, Nepomucena, Ksawera* i zapewne cieszy się wraz ze mną, moi panowie, radością chłopaków z drukarni, którzy oszczędzają sobie wierszy i pracy, i prędzej wymkną się z drukarni. Niesłusznie zarzucają Gazecie Urzędowej rozprzestrzenienie liberalnych a nawet rewolucyjnych wiadomości i zasad; lecz gdyby to i prawdą było, któż temu winien? Jak łatwo możnaby temu zapobiedz! Gdybym był księciem, to rodzicami chrzestnymi moich książąt i księżniczek byłby cały naród, a to w stosunku do ludności mych poddanych i tak sześć milionów, dwanaście, dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt, a gdybym był cesarzem chińskim to mój potomek miałby dwieście milionów imion; inni panujący poszliby za moim przykładem, a wówczas chciałbym wiedzieć w jaki sposób gazeta mogłaby szerzyć swe rewolucyjne zasady. W ten sposób mogłoby pań-

stwo rządzić dziennikarstwem, nie uciekając się do cenzury. Lecz właściwie, moi panowie, czy nie zdaje się wam, że w tym wypadku koń radby iść naprzód a jeździec go wstrzymuje, ogląda się i trąbi? Wszak to widoczne. Ale gdybyście sądzili, że koń ma więcej rozumu aniżeli jeździec, wniosek wasz byłby niesprawiedliwy. Dobry, wierny koń nie pragnie nigdy mieć więcej rozumu od jeźdźca, a zręczny jeździec zostawia malutką cząstkę rozumu koniowi zabierając mu część większą. Więc jest też widocznem, że nasz koń będzie galopować w przyszłości, a nasz jeździec kierować się będzie ku przeszłości, lecz to nie można nazywać rozbieżeniem mniemań i zasad, ale — ze strony konia jest fantazyowaniem, a ze strony jeźdźca, moderowaniem, cofaniem, żenowaniem, szykanowaniem, jednym słowem rządzeniem. Wróćmy jednak do rzeczy. Wobec wielkich wydarzeń, dotyczących się całej ludzkości nigdy nie zapomina gazeta o maluczkich ludziach, gdyż pisze ona i dla kuchni. Gdy już nas poznałomiła z imionami wszystkich nowonarodzonych książąt i księżniczek, następnie z utworzonymi orderami, ze wszystkimi nowostemplowanymi radcami dworu, skarbowymi i sądowymi, powiadomiwszy nas z podróżami wszystkich kurjerów i z liczbą koni wszystkich wysokich podróżnych i ich wysokich towarzyszków; przeprowadziwszy wszystkie rewje wszystkich wojsk i to kompania po kompanii; opowiedziawszy wszystkie dworskie uroczystości, a to dla lepszego zrozumienia dwa razy powtarzając, raz podając szczegółowy program uroczystości a następnie dokładny opis uroczysto-

ści porównując nadzieję ze spełnieniem, możliwość z rzeczywistością, oczekiwanie ze wspomnieniem — otóż zrobiwszy i napisawszy to wszystko, opowiada nam o przyrodniczych zdarzeniach życia małomieszczańskiego. I tak np., że w kuchennym ogrodzie pewnego barona na Szlązku rośnie dynia wielkości 3 łokci 5 cali a waży 78 $\frac{1}{2}$ funta; że pewien kupiec w Saksonii musiał zapłacić karę pieniężną w kwocie 21 groszy 8 fenigów, gdyż uciekła mu kura na ulicę; wreszcie że w truppie Ringelharda w Kolonii panuje dezercya, pierwszy tenor *Ulrich*, najpotężniejszy filar opery, oddalił się, a nawet milutka panna *Peché*, w co trudno uwierzyć, stała się niewierną miejscowej operze. Lecz najmilej i najchętniej opisuje gazeta (jubileusze). Gdy jakie małżeństwo święci złote wesele, gdy jaki kancelista przepisując lat pięćdziesiąt, obchodzi pierwszy dzień swej służby i otrzyma dekret pochwalny — wówczas gazeta rozplywa się we łzach i z rozczulenia zaledwie pióro w ręku utrzymać jest w stanie. Zazwyczaj nazywa podobną uroczystość „*pewnie bardzo rzadką*”, lecz mówi to tylko z wrodzonej skromności i by umniejszyć swe własne zasługi; gdyż nie minie i cztery tygodnie a znów opowiada o podobnej uroczystości. Co do tak zwanych oryginalnych artykułów i korespondencyj, któremi inne czasopisma się zdobią, to gazeta pocztowo urzędowa umie się ich wystrzegać. Jest ona przezorną, przyjmuje tylko pewne wiadomości, a pewną nazywa tę, która obiega wszystkie inne dzienniki. Zdarzają się jednak wypadki, w których gazeta ta występuje jako twórcza potęga i za-

sila inne europejskie dzienniki. Wówczas artykuły jej są bogate treścią i znaczeniem i dają miarę jej zdolności czemby być mogła, gdyby tylko chciała. Takich wypadków jest cztery rodzaje. A mianowicie, *primo*: gdy urodzenia, zamężcia i przypadki śmierci wysokich osób książęcych oficjalnie udzielone zostają senatowi wolnego miasta Frankfurtu. *Secundo*: Gdy miejsca posłów angielskich i francuzkich w Frankfurcie zostają opróżnione, o tem pierwszą wiadomość podaje gazeta. *Tertio*: Gdy okaże się z druku „*Przeгляд wschodni*” wychodzący w Frankfurcie, wówczas wyciągi z tego czasopisma figurują w gazecie pod nagłówkiem *Frankfurt*. W dniach tych cenzor ma prawdziwe ferye, gdyż wcale nie potrzebuje czytać gazety, wie on dobrze, iż nic kreślić nie potrzebuje. *Quarto*: Obserwacye *plam słonecznych* w Frankfurcie stanowią ostatni przypadek. Bardzo oryginalne sprawozdania o beczkach budowanych na zamarłym Menie nie wliczają się, chociaż bowiem podobne wypadki wydarzają się raz w sto lat, to jednak w oczach gazety owe beczki, chociaż są beczkami jubileuszowymi nie zasługują na wzmiankę. Lekkomyślni francuzi wszystko lekko biorą i robią, my poważni niemcy wszystko utrudniamy i trwale robimy. Francuzi mogą pożyczać na fanty, mają ruchome majątki, my niemcy robimy hipoteczne długi, mamy stały majątek. Lecz niestety gotówka jest u nas osobliwością. Nasze weksle, à dato sto pięćdziesiąt lat są najpewniejszymi papierami wartościowemi, zaś te, à dato trzy miesiące, białemi krukami. Spostrzegam, moi panowie, że zbyt się oddalam od przedmiotu i przy-

kro mi, iż zakazałem tak surowo przerywać mi mowę. Ale porządek być musi. Dla francuzów książka jest prawie tylko wydarzeniem, a pisemko polityczne jest dla nich faktem politycznym; dla niemców zaś każde wydarzenie jest książką, a fakt polityczny jest rozprawą o polityce. Rozprawa hr. Montlosier przeciw Jezuitom była wojną francuzką. W tym to tak pięknym niemieckim duchu myśli, czuje i działa — mianowicie pisze — Gazeta pocztowo-urzędowa. Historya spełniona jest dla niej tylko próbą teatralną, lecz historya opowiadana jest dla niej właściwem przedstawieniem sztuki. Z tego powodu dzieli ona czas nie na stólecia, tysiącolecia, na wieki starożytne, średniowieczne i nowożytne; nie dzieli historyi na epoki, historyę narodów, państw, wojenną, kościelną, handlową; nie dzieli umiejętności na matematykę, politykę, estetykę, teologię, filozofię; nie dzieli ziemi na kraje, ludy, państwa, góry, rzeki, morza — lecz dzieli ona świat, czas, historyę, umiejętności i całą ziemię na *dzienniki*. Co się stało gdzie i kiedy, czy to jest prawdą czy zmyśleniem, na tem jej nie zależy; ona patrzy tylko, jak się owo miejsce nazywa, w którym dziennik wychodzi, a z kąd ona czerpie swe wiadomości. Może panowie piliście nadto wina przy obiedzie i nie rozumiecie dobrze tej teoryi gazety. Objaśnię więc to postępowanie kilkoma przykładami. Jeśli dziennik „Allgemeine Zeitung” opowiada o zdarzeniach amerykańskich zeszłego stólecia, wówczas pisze nasza gazeta: *Augsburg dnia 12 marca 1827 roku* i pod tym nagłówkiem opisuje owo amerykańskie zdarzenie. Pisze

ona: *Z Turyngii*: Pan Gruithuisen w *Monachium* obliczył, że księżyc w 30,000 lat spadnie na naszą ziemię; a z *Frankonii*: Panna Sontag dała koncert w *Berlinie* a pani Vespermann umarła w *Monachium*. Dlaczego pisze z *Turyngii*, z *Frankonii*? gdyż jedną wiadomość powzięła z dzienniczka turyngskiego a drugą z dziennika w Würzburgu. Oto tu czytamy mowę pogrzebową na śmierć księcia York, zmarłego w Londynie, a nagłówek jest *Aachen*; tu pod *Berlinem* z 9 listopada o zawarciu umowy, pruskiej celnej z Lippem i kilka zdań o miłości i kobietach. Co mają kobiety do czynienia z ugodą celną, co miłość z 9 listopadem? Chyba, że ich łączy duch ojczysty ożywiający gazetę! Oto tu pod *Darmstadt* znajdziecie rozporządzenie, że wszyscy włóczęgi mają być wydalenii ze starej Hessyi do nowej w połączeniu z wiadomością, że pewna kobieta w *Aachen*, która chciała się uleczyć z podagry gorącą wodą, zmarła przy tej próbie. Wtem znów miejscu: *Berlin* — „Dotychczasowy nauczyciel przy gimnazyum w Wetzlar, został mianowany dyrektorem tegoż”, a zaraz potem: „W wyszłej w Ilmenau u Voigta książeczce p. t.: „Tajemnica podobania się płci pięknej”, zaleca się jako najprzedniejszy środek *pionowe cięcie ciała*”. Tu możecie czytać: Augsburg 16 września. „Rossyjski kuryer przybywszy do Bukaresztu, rzekł: Ibrahim basza złapany...” „Więcej jest na świecie pątników aniżeli sądzą ogólnie”. Oto *Monachium*: Izba posłów odrzuciła projekt prawa handlowego, a następuje humorystyczny artykulik o fizyologicznem znaczeniu nóg. *Kolonia*: Stare monety z Kolonii, Tryeru

i Aachen zostaną wycofane, a dalej idą wyjątki z dziennika Merkurj drezdeński. Oto *Bononia*: Cóż nam doniesie z tego miasta nasza gazeta? może co o uniwersytecie? o ogrodzie botanicznym? o założeniu teatru anatomicznego? o Arndtcie? Ach gdzież znów, pisać o podobnych rzeczach! oto pisze: „*Bononia 20 marca*. Dowcipny autor *Stapelia mixta* wypowieda następną mowę pochwalną o tańcu”... i oto w dwóch długich kolumnach gazeta tańczy. Otóż w ten sposób gazeta owinąwszy *jednym* pięknym powijakiem wszystko, powiązawszy ze sobą Boga, naturę, historję, ludzkość, państwo, umiejętność, sztukę, powagę i dowcip; widząc jedno we wszystkim, a wszystko w jednym i odnosząc wszystko do jednego t. j. do dzienników — zyskuje owo błogosławione życie, które tak pięknie określa Tomasz a Kempis: „*Cui omnia unum sunt, et omnia in uno videt, et omnia ad unum trahit: potest stabilis corde esse et paciscis in Deo permanere*”; które to zdanie znajdziesz pan, panie radco legacyjny, stosownie objaśnionem w historii francuzkiej dyplomacyi. Otóż taką jest, moi panowie, Gazeta pocztowo-urzędowa! Czyż nie zasługuje na miłość? Czyż nie powinniśmy kochać miasta, w którem ona wychodzi? Czyż nie należy kochać kraju, w którym to miasto leży? I narodu, który kraj ten zamieszkuje? Czyż nie mam słuszości, panie radco legacyjny? Panie doktorze, czy mówię prawdę? Karolu, nie mamże słuszości?... Po tych słowach Waller chwycił rękę kelnera — była to ręka ludzka, nie patrzył czyja, sądząc, iż jest moją — i mówił cichym, proszącym głosem: „Karolu,

daj mi kochankę, daj mi Boga, daj mi ojczyznę. Ja żądam tak mało; daj mi tylko małą, bardzo małą ojczyznę!..." Potem padł na krzesło, zakrył twarz i płakał głośno. Wszyscy obecni patrzyli na niego ze zdziwieniem i współczuciem a ten i ów rzekł z cicha: co za szkoda.... biedny Henryk! ach biedny Henryk!"

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Pomiędzy gośćmi, którzy słuchali dziwacznej mowy Henryka był także poważny stary człowiek, na którego zwróciliśmy naszą uwagę jeszcze przy obiedzie. Jadł on i mówił mało, a pił i śmiał się często. Białe jak śnieg włosy zdobiły twarz młodocianością kwitnącą i trudno było rozróżnić, czy on się przedwcześnie zestarzał, czy też umiał zachować tak długo swą młodość, gdyby nie ów spokój niewzruszony, do którego dochodzimy w życiu po długich i ciężkich przejściach, gdyby nie owa miara w jego poruszeniach, którą uzyskujemy w późniejszych latach. Silny prawdą i przekonaniem Waller, nie dbający zresztą o nikogo, starał się zyskać jego poklask i uwagę; chociaż bowiem mówił nieopatrznie, to jednak rozumnie i chociaż dawał się niekiedy porwać swej fantazyi, to jednak wczas się spostrzegał i dobrze uważał, co się działo około niego. Lecz stary badał a sam nie dał się zbadać. Otóż się zdarzyło, że stary zapytał Henryka, która jest godzina, na co mu Henryk odpowiedział, iż nigdy nie nosi zegarka, wiedziałem o tem, mruknął stary. Opuścił on salę przed nami, a przechodząc

obok Henryka, dotknął się puszeki blaszanej. Starałem się wyprowadzić Henryka, raz by go nie narażać na drwiny obecnych, a powtóre, by go wyrwać z dręczących marzeń. Zaproponowałem mu przechadzkę. Zabrał kasetkę, chcąc ją zanieść do swego pokoju, a gdy go prosiłem by ją oddał garsonowi a sam oszczędził sobie schodów, zapytał z gorzką ironią: „Mamże powierzyć naszą drogą ojcowizną płatnemu słudze?” — Niech to będzie po raz pierwszy, odezwałem się z prośbą, a Henryk posłuchał mnie i poszliśmy na miasto. Wkrótce doszliśmy do jednej z tych wesołych teraz bram, które niegdyś strzegły naszego pięknego miasta jako ponure stróże, a obecnie na wzór gościnnych gospodarzy stoją u wejścia. Przyszliśmy do ogrodu, który jakby wieńcem otacza miasto. Był to prześliczny wieczór czerwcowy, a kwiaty woniały rozkosznie, idąc w zawody z balsamicznem powietrzem. Lecz niestety, kurz, wzbijający się tumanami po przejeździe powozów, psuł naszą radość. W Paryżu, zauważył Henryk, na bulwarach, gdzie więcej jezdnych i jadących jak tu pieszych, nikt nie może na kurz się skarżyć, gdyż od rana do wieczora polewają drogę wodą. Tu zaś, jak w ogóle w całych Niemczech zwracają bardziej swą uwagę na osoby jak na rzeczy. Z jaką to uwagą śledzą za czeladnikami, sługami, autorami i podróżnymi; lecz kurz, ten nie potrzebuje paszportu i może iść tam gdzie mu się żywnie podoba. Odpowiedziałem, że prawdopodobną przyczyną tej wolności jest to, że kurz towarzyszy bogatym i wielkim tego świata. W tej chwili dotknął się ktoś Henryka, był to ten

miły starzec. „Ognista krew, przemówił stary, nie nie szkodzi, że się pan trochę ochłodził!” — „Ognista krew! odrzekł Henryk, ja już dawno po trzydziestce”. — „A chociażby, odpowiedział stary; krew tylko jedna czyni nas młodymi, bo w niej jest życie”. Stary ten człowiek przyłączył się do nas i wkrótce kierował naszą rozmową w kierunku, jaki mu się podobał. W pobliskim krzewie nucił słowik swą tęskną piosenkę. Staaliśmy i z rozkoszą słuchaliśmy śpiewu. Henryk przypomniał mi ów śliczny wieczór w Montmorency, gdzieśmy podobnie jak dziś słuchali śpiewu słowika, a ile to tysięcy francuzów — a była to niedziela — przybyłych z Paryża i wiosek okolicznych na uroczystość kościelną, mężczyźni, kobiety, dzieci, dziewczęta i chłopcy, mieszczanie i wieśniacy, a nawet pary zakochanych a wszyscy weseli, swobodni — wszyscy ci ludzie przechodzili obojętnie obok zielonego mieszkańca śpiewaka miłości, i my tylko, dwaj Niemcy słuchaliśmy uroczego śpiewu, i ilu to francuzów z dziwieniem spoglądało, pytając się, co nas tak bawi, co nas tak czaruje! — „Wcale mnie to nie dziwi, odezwał się nasz stary towarzysz, słowik śpiewa najmilej dla Niemca, on śpiewa po niemiecku, on jest ptakiem niemieckim”. Henryk zauważył, że słowik jest ptakiem wędrownym i że pochodzi z Azji. — „To jest wspólną cechą i radości, mówił stary, a z Azji i Niemcy pochodzą”. — Henryk odpowiedział: „Jednak my z Azji przynieśliśmy tylko umiłowanie kastowności i naukę o wędrowce dusz. — Jako o wędrowce dusz, zawołałem wątpiaco. — „Tak jest, z uśmiechem odpowie-

dział Henryk, wierzymy, że dusza radcy dworu, gdy ten zmarł przykładnie, przechodzi w ciało tajnego radcy dworu, umarł on jednak w grzechach, to dusza przechodzi w zwykłą powłokę obywatela miejskiego bez tytułu". — Stary odrzekł z uśmiechem: „Ja jestem również radcą dworu, a jednak wolałbym, byś pan moją radę bardziej cenił aniżeli mój tytuł; pan dążysz do dobrego celu, ale jesteś na fałszywej drodze. A jednak zdaje mi się, że pan zbyt znów nie nienawidzisz owego kraju radców i tego miasta, w którym ta szlachetna Gazeta pocztowo-urzędowa wychodzi; widzę bowiem pana we Frankfurcie od dłuższego czasu". — „Stale mieszkam w Paryżu, odpowiedział Henryk i rok rocznie przyjeżdżam na kilka miesięcy do Niemiec; używam tu kuracyi błotnej by wzmocnić moje nerwy". — „W tym względzie masz pan słuszność, pan rzeczywiście potrzebujesz kuracyi", przemówił ostro nasz stary towarzysz i usiadł na ławce. Ostro ton rozmowy wkrótce przeszedł, a pozostała tylko wzajemna sympatya. Stary po chwili milczenia począł mówić: „Jestem Niemcem i czuję się dumnym z tego, jednak zawsze się rumienię, gdy słyszę Niemców gardzących swoją ojczyzną, gdy widzę, że gorzkimi drwinami rozrywają węzeł, który stworzyła natura i przyroda, a to by zyskać wolność myśli i kruszą słodkie więzy, któremi nas miłość spoiła. Żaden dobry syn nie będzie się gniewał na ojca, a gdy go kochać nie może, będzie go czcić, a nie może go czcić, to niechaj go poważa i szanuje a każdego, który ojca chce obrazić, powinien odtrącić". — Henryk stanął z zało-

żonemi rękami przed starym kaznodzieją i rzekł: „Ojczyzna! Ojciec! I my? Nasza dobra matka, mówią źli ludzie, była lekkomyślną i dała nam dużo ojców. Czy mamy kochać wszystkich, czy też jednego, a w takim razie którego? Ja jestem urodzony w Moguncyi. Jako chłopakowi opowiadano, że arcybiskup jest moim ojcem, gdy doszedłem lat młodzieńczych uczułem się wolnym obywatelem Francyi. Serce mi biło na widok bitnych wojsk wielkiego cesarza, a gdy się dla mnie zamknęła epoka miłości a rozum zapłomował, ujrzałem się w kraju Darmstadzkim. Przechadzając się po wałach mego rodzinnego miasta, jestem z prawej strony austryakiem, z lewej prusakiem. Więc kogo i co mam kochać? Czy mam mieć serce mogunckie? mamże być dumnym republikaninem? jestemże francuzem? czy też jako prawy obywatel Darmstadu mam przez cały tydzień rozprawiać o przyszłej niedzielnej operze? mamże moją miłość synowską dzielić między miasto a warownię? Czyż mam myśleć po austryacku a kochać po prusku? A może powinienem mieć serce związkowe? Zaiste byłoby to serce bardzo skomplikowane i *związane*, gdybym chciał ukochać wszystkich mych ojców, wszystkie me ojczyzny!” — Serdecznie uśmieliśmy się z tej skargi Henryka na ojcostwo, lecz stary rzekł: „Jeśli mamy wielu ojców, a nie wiemy który prawdziwy, kochajmy wszystkich, którzy kochali naszą matkę, a ją przedewszystkiem, co do niej nie zachodzi żadna wątpliwość. Ona nas wykarmiła, wyniańczyła i wychodowała. Ona nauczyła nas wymawiać ojciec, matka, Bóg i wszystkie te piękne rzewne

słowa, które nam otwierają podwoje życia. Ona nauczyła nas wypowiadać nasze życzenia, żądania, skarżyć się na smutki, cieszyć się w radości. Ona odpowiada na pierwsze pytania młodego pragnącego wiedzy, opowiada nam o niebie i ziemi, o biegu gwiazd i drodze życia, o krajach, górach, morzach i ludach. I dorosłych nie pozostawia bez miłości i troskliwości. Gdy wyjdziemy z raju dziecięcego wieku w świat szeroki, wówczas przemawia ona do nas słodkim głosem matki i kieruje myśl naszą w kraj wspomnień naszej młodości, towarzyszy nam ona przez całe życie, wśród boleści i radości, aż do grobu, który wszystko uspokaja. Ją więc kochajmy, chociaż ona może o sobie zapomnieć, nas nigdy nie zapomina — *mowa rodzinna*, ona jest naszą matką, naszą opiekunką. Ona nas jednoczy w braterski węzeł, buduje dla nas dom ojczysty, w którym my, czy to maluczcy czy wielcy, spotykamy się i witamy, gdyż jesteśmy pod jednym dachem, i chociaż rozdzieleni, chociaż się nie zbieramy wspólnie w jednej sali w dniach smutku i wesela, to jednak spotkamy się we drzwiach lub na schodach i przypomnimy sobie, żeśmy braćmi, synami jednej ojczyzny. Któraż mowa może się równać z naszą, któraż jest tak bogatą i potężną, tak silną a uległą, tak piękną a skromną? Ona ma tysiące barw a setki odcieni. Ona ma jedno słówko na potrzebę jednej minuty i jedno słowo na określenie niezmiernego uczucia, którego nie wyczerpie cała wieczność. Ona jest silną w potrzebie, odważną w niebezpieczeństwie, straszną, gdy gromi, mięką w litości, a poddającą się

w przedsięwzięciu. Jest ona wiernem odzwierciedleniem każdej mowy, którą przemawia niebo i ziemia, powietrze i woda. Co groźny grzmot huczy, co słodka miłość szepce, co jasny dzień głosi a ciemna noc ukrywa; co jutrzienka osrebrza i złoci, co poważny król na swym tronie w myśli układa, co dziewczę chichotka śni i marzy, co żywe źródło szmerze a barwny wąż gwizda; co ochoczy chłopak figluje i piosnką dzwoni, a stary filozof snuje mówiąc: ja jestem więc jestem — wszystko to mowa nasza nam tłómaczy, wyjaśnia, czyni zrozumiałem i każdą oddaną jej myśl, każde słowo oddaje nam piękniejszym, ozdobilniejszym aniżeli wzięła". — „Tak jest, krzyknął Wal-ler radośnie, nasza mowa jest cudowną! Lecz, dodał zniżonym głosem, nie wolno nam jej używać!" — „Powinniśmy, zawołał stary. Nienawiści dano miecz, miłości mowę, powinniśmy mówić, gdyż powinniśmy kochać. A gdy nie pomoże słodkie słowo miłości, wówczas użyjemy silnego słowa groźby i gniewu. Powinniśmy grozić, powinniśmy przestraszać. Mowa jest pochwą czynu, podniesiemy ten osłonięty miecz a odniesiemy zwycięstwo bez krwi rozlewu". — Przy tych słowach Henryk wybuchł drwiącym śmiechem i mówił: „My a miecz! my a zwycięstwo! W żelaznej pochwie jest klinga blaszana, norymberska zabawka dawana dzieciom! Śmieją się z naszej zabawy, szydzą z naszej ochoty do walki; gdy jednak rzecz tę poważnie traktować zechcemy, obierają nam zabawkę, sponiewierają naszą odwagę i postawią nas za karę pod piecem. Jesteśmy psami na łańcuchu, przechodzi żebrak szczekamy głośno, zbliży

się bogaty i możny warczymy tylko i zaraz pan skinie, sługa świśnie i padają nam na głowę kije. Wówczas leżymy cicho. Nie, nigdy nie pokocham tego narodu, nigdy nie będę swobodny w tym kraju, kapryśnego powietrza, kłótliwego nieba, z jego płakawą wiosną i chmurną jesienią. Gdzież są nasze góry, na które mamy spoglądać gdy życie jest płaskie i nudne? Gdzież ten śpiew, który w dysharmonii świata przypomina nam spokojne i wesołe dni? gdzież puls ludu, po którym bicie serca rozpoznać można? a gdzie pomniki naszej historii? To co uczynili przodkowie nasi, dostaje się w udziale tylko pierworodnym. Gdy spragnieni po długich i słonych dniach, szukamy orzeźwiającego napoju u źródła naszych czasów, gdy nam parno w pustej i оголоcoonej terażniejszości, a szukamy cienia pod drzewami naszej historii — cóż nam zostaje, gdzie nas prowadzą, co nam dają? W piaszczystym kraju „suchy chleb z kwaśnem piwem”, a przed karczmą stoi przezimowany pał zabawy majowej, u wierzchołka którego powiewają zblakłe wstążki, suche liście i zwiędły wieńiec. Szukamy wina, dają nam piwo, szukamy chłodu leśnego, a znachodzimy pień nagi. To milczenie ludu, ta uniżona pokora uczonych, pawia zarozumiałość bogatych, posępna дума możnych, nieporadność ludzi sprawiedliwych a węzowe poruszenia podłych, oto kraj nasz. Gdzież są ślady miłości przeszłych, pięknych czasów? Czyż choć jeden ton harmonijny z ubiegłych dni zabrzmiał dla nas? Czy słyszycie może jedną strunę, czyż brzmi harfa? Przeszłość jęczy, terażniejszość kracze, a przyszłość wyje. Byliśmy ni-

czem, jesteŃmy niczem i będziemy niczem. JesteŃmy słabym narodem bez uderzeń serca, a ojczyznę mamy bez sklepienia". — „Wobec wszystkich tych zarzutów, przemówił stary, które pan w gorączce naszej cierpliwej ojczyźnie czynisz, ostatni wydaje mi się najbardziej niesprawiedliwym. Nie sklepienia brak Niemcom, to aż nadto silne, z przesadną pilnością i sztuką zbudowano podwaliny, dachu braknie naszej ojczyźnie....” — I kominów, podchwyciłem, i z tego to powodu dym skargi gryzie oczy.... Sprzeczka jest dymem miłości.... Prawda, lecz powinno zostawać tylko ciepło. — „Za żadne skarby świata, mówił stary dalej, nie chciałbym być księciem bez wolności pracy; ale nie mieć jej jako poddany, to zbyt nie dolega. Kto ma wybierać między nędzą a grzechem, może się nazywać szczęśliwym gdy przypadnie mu w udziale nędza. Nie, moi przyjaciele, wy sami tworzycie sobie smutek. Chcecie poznać i ukochać nasz kraj, naszą ojczyznę; jedźcie za granicę, do obcych. Ileż dobrego, co nam dała ojczyzna, tam wam zabraknie, a nawet to piękne, co będziecie u obcych widzieć i odczuwać, zawdzięczacie ojczyźnie, która was nauczyła być sprawiedliwymi. Anglik jest tylko Anglikiem, hiszpan hiszpanem, Francuz tylko Francuzem, człowiekiem jest Niemiec. Shakspeare, Calderon, Voltaire oni do nas należą. Nie sława ich skłania nas do podziwienia, wesoło i swobodnie oddajemy im haracz miłości, oni są naszymi braćmi, ziomkami”. — „Sprawiedliwość, przemówił Waller, jest cnotą słabych, gdyż im najwięcej na jej pełnieniu zależy, silny sam

siebie broni". — „Szczęśliwy ten, odrzekł stary, który dał w udziale pomierną siłę; zbytek prowadzi do grzechu.... Nasz kraj jest śliczny, powietrze orzeźwiający, nam się dostała ta piękna zmiana pomiędzy użyciem a brakiem, która zadawalnia ludzką naturę. Nie zazdrośmy żadnemu krajowi wiecznie uśmiechniętego nieba, ciągłe użycie jest wiecznym brakiem. Mamy najdłuższą wiosnę, chociaż ona płacze — na wiosnę płacze drzewo, krzew, kwiat i miłość. Łzy są echem boleści serca, które nigdy nie starzeje, a zawsze młode serce ma tylko niemiec. Nie pytajcie o naszą historję, o pomniki naszej przeszłości — my jesteśmy młodym narodem. My nie mamy przeszłości, inne narody nie mają przyszłości. Kto jest szczęśliwszym? Spójrzcie tam na tego chłopczyka o kręcących się blond włosach, który zwiędłemu kwiatkowi kopie grób w lekkim piasku; zawołajcie go tu i spytajcie o dzieje jego życia — on popatrzy na was swemi wielkimi, niebieskimi oczyma, poskoczy i bawić się będzie trawą i kwiatkami. Pytacie o jego życie? On żyje. Czy nie pomienialibyśmy się z nim chętnie? czyż nie oddalibyśmy mu naszej pewnej przeszłości za jego niepewną przyszłość. Jesteśmy dziećmi, to prawda; jesteśmy surowo chowani; lecz któż niechętnie zmienił szkołę na życie, ucznia na nauczyciela? Wolni ludzie nie mają wolnych godzin — jesteśmy narodem do pozazdroszczenia. Nasi ochmistrze starzeją się, a my dorastamy; dozwólcie nam używać życia i mieć nadzieję. Budowa Niemiec raz się ukończy — a potem wsparta na tysiącoleciach, przetrwa wszystkie pań-

stwa. Niegdyś zburzyli niemcy światowładny Rzym, kiedyś stworzą piękniejszy. Wówczas utworzą ligę wiecznego pokoju, o którym śnili inni, uważając to za sen, a wtedy będą błogosławić dobrych przodków tak dobrych wnuków". -- „Tak, jesteśmy dobrzy, rzekł Waller, lecz ja nie chcę być dobrym, chcę być lepszym. My jesteśmy zdolni do czynu, który wiedzie do spokoju, do walki, która prowadzi do pokoju; nasze serce jest ciepłe, lecz tli ponuro, cicho i nigdy nie błysnie żywszym płomieniem. Nie jesteśmy zdolni do entuzjazmu, który człowieka do Boga podnosi, stworzenie czyni twórcę. Nam musi rozkazać policya, musi przybić ogłoszenie na ratuszu, iż mamy się entuzjasmować i cieszyć o godzinie czwartej popołudniu, a wówczas cieszymy się i zapał nami owłada o tej oznaczonej godzinie. Jakżeż kochamy, jak czcimy naszych wielkich mężów, a jak to czynią inne narody! Naszych poetów, artystów, mędrców i dobroczyńców narodu — my, zimni pochlebcy, nazywamy *ogólnie wielbionymi*; lecz ogół ich nie wielbi, a oni sami z głodu umierają. Odeon w Paryżu musiał dać przykład ofiarności, dając przedstawienie narzeczonej i sierot po Weberze, a tylko kilka scen niemieckich poszło w jego ślady. Jean Paul, często się uskarża, że nie widział Alp i morza! Miał stu książąt, trzydzieści milionów współobywateli, a jednak był ubogim! „W cesarskim grodzie hojnie wspierającym sztuki i naukę”, jak prawdomówny Böttiger Wiedeń nazywa, leży Beethoven słaby od czterech miesięcy i cierpi nędzę! Gdy się o tem dowiedziało towarzystwo Harmonii w Londynie, postanowiło dać mu

wszystko, czego potrzebuje i życzy sobie, i natychmiast wysłało tysiąc złotych reńskich. Mój Boże! Tysiąc guldenów posłano z Londynu do Wiednia, a tam jeden bankier dla zmysłowej rozkoszy przepuścił jednej nocy trzydzieści tysięcy guldenów! Lecz prawda, Beethoven nigdy nie był psem schlebiającym o jedwabnej mordzie, jakim był Mestazio, a prawdopodobnie był odszczepieńcem, który nie wierzył w boskość wiedeńskich kawalerów. Jakież to wstrętne i bezwstydné! Jak można kochać Boga, nie kochając jego twórców!" — „Henryku, kochany Henryku, zawołałem, jakżeż mnie dziwi twoja mowa. Niemiec jest wolnym; nasi poeci, nasi artyści, nasi pisarze nie znoszą jarzma; tylko tego jednego nie mogliby rzucić — jarzma dobrodziejstwa. Cieszymy się, że są wolni od niego, dla innych jest to hańbą, dla nas sławą. Niemiec myśli, pisze, maluje według swego upodobania; kto opanuje jego serce, ten owłada jego duchem. Dozwól nam cierpieć i być wolnymi. Goethe napisał swego Werthera zanim wstąpił na dwór, a chociaż nie można udowodnić, przyczyny i miejsca zamarcia jego serca — gdyż u niego młodość nie przeżyła jego wolności — to jednak wiemy o tem". — „A cóż to jest ów zapal? mówił stary. Wyskok uczucia, hojne przeżycie jego odświętnego, po którym następują smutne i ubogie dni powszednie. Niemiec kocha umiarkowanie cały rok, lecz zawsze do syta. Anglicy, francuzi czczą i wielbią tylko swych własnych wielkich mężów; niemiec kocha wszystko dobre i piękne, co tylko ziemia posiada. My nie możemy wszystkiego kochać, co podzi-

wiamy, wszystkim tym dobrze czynić, których kochamy. Wiele nam brak, mamy jednak jedno, które wszystko wynagradza; *wolność myśli*....” Henryk uśmiechnął się.... „Tak jest, wolność myśli! Cóż za korzyści mają francuzi w wolności druku? Mogliby powiedzieć, że niemiecka wiedza i sztuka wyżej stoi od francuzkiej, że Shakspeare wyższym jest od Corneille’a; a jednak nie mówią tego, gdyż nie mogą tak *myśleć*. Cóż nam przeszkadza cenzura lub inna jaka władza? Często czyn bywa poskramiany wolą; ale jak pewnie cień łączy się z światłem, tak pewnie czyn następuje powoli, gdyż tylko ta jest czystą. Co chcemy, stanie się, prędzej lub później, jeśli tylko pragniemy sprawiedliwości i gdy jesteśmy wytrwali. Naród angielski, chociaż jest szlachetnym, nie ma odwagi być sprawiedliwym; *my* obdarowaliśmy już dawno Irlandczyków katolickich wolnością i równością. Nawet najpotężniejsi książęta namyślają się, co mają z Grecyą uczynić; *my* bez wahania ogłosiliśmy ją wolną”. — Znudzony Henryk zawołał: „A choćby to i prawdą było, coż nam to pomoże? Jakaż korzyść ze sztuki i wiedzy zamkniętej w szafach, co znaczą dobre chęci bez czynu, cnota bez uznania, zasługa bez sławy? Ja chcę żyć i życia używać. Chcę powiedzieć co myślę, czynić, co mi się słusznem zdaje, bronić się przed niemilem i zbierać owoce z tego co posiałem. Jakżeż nudni jesteśmy, jakże nudnymi nas widzą! Gdzież szukać między nami tego wesołego towarzyskiego życia francuzów, gdzież łączy się u nas sztuka z wiedzą, serce z duchem, uczucie z dowcipem, by stworzyć pięk-

na chwilę szczodrego użycia?" — „Nie zazdrościmy im tego, odparł drugi, i ja żyłem pomiędzy nimi, i ja pozwalałem się ugaszczać szczerze i hojnie. Lecz nie chciejmy ich naśladować, francuz całą swoją wiedzę zużyje w rozmowie jednej godziny; ponieważ wszystko wypowiada co wie, mówi więcej, aniżeli wie — zaciąga długi umysłowe. Niemiec więcej myśli, niż mówi; lecz zawsze mu wystarcza i nie widzimy dna jego wiedzy". — Trąbka, hasło powrotu, dała się słyszeć. Musimy wracać, rzekłem. — „Szkoła! zawołał stary, wieczór tak piękny! Ale trzeba być posłusznym". — „Cóż to znaczy? przemówił Waller. *Myślny*, jakobyśmy dalej używali przechadzki". — Tak jest, chciejmy tak myśleć, odrzekłem, i będziemy myśleć i myśleć: że ta tyrania trąbki jest śmieszną i przykrą — a kiedyś ukończy się pewnie.

Stary był tak dobry, powiedzieć nam, że cieszy się naszą znajomością i pragnąłby naszych odwiedzin w hotelu pod nr 13. Żegnając się, podał rękę Henrykowi i powiedział: „Soyons amis, Cinna!" Jak tylko przyszliśmy do domu, pytał się Henryk, kto mieszka pod nr. 13. Przyniesiono mu księgę obcych gości i przeczytał: „Baron de Ruhdorf, tajny radca dworu i prezydent rządu". „Tak! zamruczał on, Baron! Radca dworu! Prezydent! Dlatego tak zadowolony! Vous êtes orfèvre, Monsieur Josse!"

IV.

O lakonizmie w krytyce.

(1824.)

Przyczynia się to znacznie do powiększenia sławy recenzentów, czy oni książki, ludzi lub inne stosunki oceniają, jeśli żyją jak spartani, posiadają tylko miedziane pieniądze i jedzą tylko czarną polewkę; gdyż kto pragnie i potrzebuje zaufania, otrzymuje je, gdy zresztą nic nie potrzebuje i tylko taki może ludzi pouczać, który nauczył się obywać bez ich towarzystwa. Lecz recenzenci nie powinni *писаć* po spartańsku. Oni są sędziami; muszą więc czy to uwalniają, czy skazują, podać powody swego wyroku, a to jasno i zrozumiale. Jeśli tak nie postępują, jeśli zadawalniają się słowami: to jest dobre, a to złe — to każdy czytelnik ma prawo im powiedzieć: o tem ja sam wiem dobrze, to mi mówi własne poczucie; ty jednak powinienes wyjaśnić to poczucie, powinienes podać przyczyny, dlaczego to dobre, a to złe. Przeciw lakonizmowi krytyki musimy walczyć a przy tej sposobności dotknąć i innych rzeczy, które tej sprawy dotyczą. Tem bardziej zasługują ci krytycy na zarzuty, że pisarze naszych czasów wcale na długość trwożliwie oglądać się nie potrzebują; inni ludzie postarają się już o skrócenie.

W pierwszej linii stoją krytycy tytułów książek. Czasami w tytule jest napisane *e* bez kreski, lub

też brak przecinka albo podwójnego *n*. Recenzenci mikroskopijni zauważyli te braki, więc wsuwają brakujący przecinek, a to owinięty w klamrowy futerał, by cenna poprawka nie została uszkodzoną. Jak może recenzent, który ma choćby odrobinę ludzkiego serca, krytykować w ten sposób tytuł książki? Czyż sam nie jest człowiekiem? Czyż sam jest literatem? Czyż nie przypomina on sobie tego dnia, gdy ukończył dzieło, nad którym dziesięć lat pracował i gdy napisał tytuł? Czyż się nie czuł szczęśliwym dnia tego? Czy nie entuzjazmowała go myśl: dziś upewniłem się na wypadek śmierci, dziś moją nieśmiertelność włożyłem do kasy wdów i sierot? Czyż mógł on w owym dniu zważać na przecinek? Jeśli się jednak recenzent obawia złych skutków braku przecinka dla młodzieży szkolnej, to niechże poprawi nieznacznie; autor spostrzeże ten skromny i milczący zarzut i przy pierwszej sposobności uściśnie rękę krytyka. W ogóle jest rzeczą małoduszną i drobnostkową krytykować w dziele błędy językowe. Można przyjąć jako pewnik, że każdy autor umie pisać gramatycznie i popełnia takie błędy li z pośpiechu. Dzieła pospiesznie pisane, nie należą jednak z reguły do nieudolnych. Byłem raz obecny, gdy zmarły sławny fizyk *Ritter* ustawił olbrzymią baterię galwaniczną, którąby można było zgalwanizować całe Niemcy. *Ritter* jednak wystawiał na działanie prądu tylko raki i żaby. Równocześnie spisywał on swe spostrzeżenia, a mały, gruby chłopak z drukarni czekał zasmolony i zdziwiony na manuskrypt. Że *Ritter*, jak to nieraz czynią badacze,

przyrodę brał na tortury i zmuszał ją do wyznań, które często później przyroda odwołuje — to nie należy do rzeczy. Na jedno zwracam uwagę, czy mógł Ritter wobec tych warunków myśleć o przecinkach?

Jako lakonizmy w krytyce muszę zganić pytajniki i wykrzykniki, które recenzenci i redaktorowie bądź to w cytowanych wyjątkach z dzieł innych, bądź też w artykułach swych współpracowników umieszczają. Jeśli recenzent lub redaktor czemu się dziwi lub o czymś powątpiewa, wówczas powinien to otwarcie i wyraźnie wypowiedzieć, a nie pantomimą. Podobny wykrzyknik równa się halabardzie stróża nocnego, która pełni służbę, podczas gdy pan stróż w szyneczku się zabawia. Dobry krytyk nie powinien liczyć tylko na swą halabardę, lecz samemu stać na straży i każdego wcho-
dzącego pytać: zkąd? dokąd? w jakim zamiarze? lub też zadawać inne pytania odpowiednio do swego stanowiska stróża literatury. Co jest najgorszego w tej całej sprawie, to jest to, iż czytelnik bardzo często nie zauważa, kto jest autorem tego wykrzyknika, czy recenzent, redaktor czy autor, i sądzi, że znak ten należy do tekstu. Więc musi być bardzo zdziwiony, iż autor sam powątpiewa w prawdziwość swych słów i zasad, i że odwołuje zdanie, które tak stanowczo wypowiedział. Podobne nieporozumienia nie mogą być miłe autorowi. Któż mający żonę i dzieci ośmielił się wydrukować: „tyran korsykański trzymał świat w uwięzi, jego upadek wyswobodził go” — jeśli musi się obawiać, że jego lojalny sposób myślenia zatruje arsenikalnym wykrzyknikiem recenzent lub redaktor? Gdy redaktor lub recenzent

nie może uwolnić się od wyrażenia swego zdziwienia lub powątpiewania, to niech przeniesie swe hieroglify na dół, pomiędzy uwagi, gdzie zaznaczają opozycję. Nie powinien więc pisać: „tyran korsykański trzymał świat w uwięzi, jego upadek wyswobodził (!) go”, lecz niech każe drukować: „tyran korsykański trzymał świat w uwięzi, jego upadek wyswobodził go”.

Ohe jam satis est !.....ja tego nie powiem; ucho-
waj Boże, jeszcze nie skończyłem. A gdybym skoń-
czył, dałbym to do zrozumienia w sposób delikat-
niejszy, a mianowicie przestałbym pisać. Jednak są
recenzenci, którzy, gdy nie wiedzą co dalej pisać,
lub też zmęczą się, albo też brak im papieru, piszą:
Ohe jam satis est, lub: Eheu jam satis est! Lecz
i ohe i eheu i wszystkie te wykrzykniki (czyli czu-
łośćkowe tony, jak nazywano w towarzystwach ko-
bięcych czerwonego krzyża podczas wojny) są bar-
dzo, ale to bardzo brzydkie. Z nich to widnieje po-
garda, na którą nie zasługuje i najgorszy autor.
Wprawdzie nie powinniśmy ochraniać złego pisarza
lub autora, powinniśmy go zabić — szkoda nie by-
łaby wielką; lecz powieśmy go, ale nie męczmy, nie
torturujmy go. Takim to nieczułym tonem czułość-
kowym jest i *sic*, które chociaż jest konjunkcją, je-
dnak użytą bywa jako przyczepka. Co znaczy *sic*?
Kto ma wielki słownik Schellera pod ręką, gdzie
wymieniono różne znaczenia *sic*, ten znajdzie wyjaśnie-
nie, co znaczy owo *sic* recenzenta w tym wypadku;
kto jednak czyta recenzję na Rugii, jakże sobie po-

radzi? się jest często zagadkowe. A więc żadne sięs, tylko otwarcie słowami, jak przystoi mężowi. Można się wprawdzie modlić po łacinie, gdyż dobry Bóg zna wszystkie języki, lecz nie wolno krytykować.

W końcu należy zganić używanie motto w krytyce, które na sposób sybilli wypowiada swe zdanie w wierszach. Są bowiem niemieckie dzienniki, które każdego dnia inne motto umieszczają. Motto jest to jutrzienka, która zwiastuje dzień i dziennik. Właściwym przeznaczeniem motto jest, zostawać w związku z artykułami wstępnymi. Muszą więc być dobrane w duchu tychże artykułów. Redakcye zapominają jednak o tem często i pozwalają sobie w mottoch krytykować artykuły. Czy wypada to z pochwałą czy z naganą należy to zganić. Motto nie powinno być portyerem, który wchodzącego traktuje grubiańsko lub grzeźnie, odpowiednio upodobaniom i potrzebie pana. Redaktor nie powinien kłaść palcy między drzwi, pomiędzy czytelnikiem a współpracownikiem. Wprawdzie może się zdarzyć wypadek, że redakcya nie zgadza się z zapatrywaniami swych szanownych współpracowników; lecz to nie upoważnia jej używać swych współpracowników jako kamieni probierczych, by okazać dobrą próbę złota swych zasad; ma ona inne sposoby wykazania swych 24 karatów. Czy jest co komiczniejszego, gdy motto mówi coś wprost przeciwnego, aniżeli następujący po nim artykuł, do którego ono należy — jeśli ono naprzód biegnąc woła do czytelnika: za mną idzie jeden pan, ten chce wam coś opo-

wiedzieć, nie wiercie mu, on kłamie. I tak niedawno czytałem w pewnym dzienniku artykuł, którego autor podjął się niewdzięcznego trudu rzec kilka słów prawdy wobec śmiesznego znieprawienia żydów, Motto tego artykułu brzmiało (w wierszach) mniej więcej w ten sposób: „Zniszczenie jest waszem przeznaczeniem, pokój nie jest wam tu danym”. Gdybym ja był autorem tego artykułu, powiedziałbym redakcyi: z tem mottem nie mogę się pogodzić, rozstańmy się. Sumienne motto nie powinno mieć sumienia; ono musi być dziś demokratycznym, jutro arystokratycznym.

V.

H o n e s t u s.

(1824.)

Oskar, młody szwed, mieszkał w Paryżu i trudnił się malarstwem. Był on zawsze wesołym, gdyż zawsze był dobrym. Nieraz żartował on z niebezpieczeństwem rozwiązłości, ale serce jego nigdy nie było splamionem i zawsze tak się zdarzało, że od dawał upadłym chwilę bólu i radości powstałej z uczucia skruchy, a nad spieczonemi rozpustą policzkami błyskały zachodnie promienie cnoty. Często wbiegał on do swych przyjaciół i wołał: Bracia! pójdźmy pohulać: i szli na ucztę złożoną z wykwintnych dań i pysznego wina; lecz Oskar używał w miarę jedzenia

i trunku — albowiem puhar jego życia po brzegi napełniony był gorącą, szumiącą krwią a każda dolana kropla mogła spowodować przepelnienie. Pewnego dnia spieszył Oskar do włoskiej opery, by usłyszeć Don Giovannę Mozarta. Kasa była jeszcze zamkniętą a ilość czekających bardzo znaczną. Oskar wmieszał się w tłum, wyciągnął talara z kieszeni, i czekał na otwarcie kasy. Wtem ktoś go popchnął a pieniądz wypadł mu z ręki i potoczył się daleko na ulicę. Napróżno szukał go oczyma. Wtem przybliżył się kaleka na kulach i oddaje mu zgubiony pieniądz. — „Zatrzymajcie go sobie, mój dobry starszku, za waszą fatywę, przemówił Oskar”. — „Mój trud był mały, odpowiedział tenże, a suma za wielką”. — „Ale nie dla mnie”, odrzekł artysta. — Jednak nie był on bogatym i szybko się oddalił, by kto nie spostrzegł jego wybiegu. Oskar mieszkał w oddalonej części miasta i szybkimi kroki zbliżał się do swej siedziby. Gdy przyszedł przed dom, ujrzał stojącego w drzwiach żebraka o kulach, który zawołał: „Szybko idziecie, mój młody panie”. — „A wy jeszcze szybciej!” odparł Oskar. — „Co do mnie, rzekł stary z uśmiechem, nie szedłem piechotą, przyjechałem”. — Oskar popatrzył na niego zdziwiony.... „jednak, dodał on, dobre to dla was, mój starszku, i chciał wejść do domu, lecz żebrak powstrzymał go wyciągając w poprzek drzwi kulę. — „Nie powinieś tak spiesznie odchodzić odemnie, młody panie, nie chcę byś sądził, iż z tej jałmużny ja jechałem Czy myślisz, że żebrać jest łatwo? Poprobuuj pan tylko raz. Dawać jest przykro, przykrzej jest jednak

otrzymywać i brać, ale najprzykrzej prosić. Często się zdarza, iż bogatemu rozpustnikowi muszę schlebiać, któremu z chęcią tą kulą pustą czaszkę rozbiłbym — często odczuwam wówczas, całą gorycz żebraniny! Wczoraj wieczorem ujrzałem człowieka zakrytego płaszczem, który wychodził z domu porządnego mieszczanina, a którego córkę uwiódł. N'oubliez,— pas le garçon! szepnąłem mu i wyciągnąłem rękę. Lampart ten uśmiechnął się i dał mi złoty pieniądz. Ach, żebranina jest ciężką i mozolną rzeczą. Ileż to razy przedsięwziąłem sobie, wypocząć na me stare lata, zacząć pracować, a nie żebrać; lecz przyzwyczajenie jest despotyczną królową; nawet więzienie może przemienić w miły pobyt”.

Oskar stał z założonemi rękami przed żebrakiem. „Mądrze mówicie, stary: wyćwiczyliście się. A teraz dobranoc!” — „O nie, mój młody panie, nie możecie teraz odejść. Chciałeś się pan zabawić tego wieczoru, a dla mnie poświęciliście waszą rozrywkę. Wieczór jest długi, pójdźcie do mnie, a opowiem wam ładne historyjki. Czy widzicie ten dom ze znakiem: au gagne petit? tam ja mieszkam?” — „Widzę znak, mówił Oskar, ale nie widzę pod jakim znakiem wy służycie!” — „Jako, młody mój panie, przecież się mnie nie obawiacie? Czyż sami nie widzicie, żem stary i słaby?” — „Właśnie dlatego, że jesteście słabi i starzy, ja się was obawiam; nie chcę bowiem używać mej siły”. — Starzec pochwycił rękę młodzieńca i poprowadził go przed swój dom, którego brama po lekkim stuknięciu się otworzyła. Weszli na pierwsze piętro, stary zapalił świecę i Oskar

ujrzał się ze zdziwieniem w ładnym pokoju, zaopatrzonym w potrzeby bogatych ludzi". — „Dobrze wam się dzieje, mój biedny panie”, rzekł Oskar. — „A tak, tak, odpowiedział żebrak. Ale nie tu nie ma kradzionego, wszystko rzetelnie wyżebrane, a prócz tego, przemówił ciszej i uśmiechając się, ja trochę bawię się czarodziejstwem”. — „Czy rzeczywiście? śmiejąc się mówił Oskar. No, pokażcie mi wasze wzory”. — „Czy w rzeczy samej pragniesz tego? Chcesz dowodów? A czy ufasz twym zmysłom?” — „Nie! zawołał gwałtownie młodzieniec. Nie ufam mym zmysłom, one nas oszukują, będąc same oszukiwane, poszukajcie sobie innego do swych czarów” — „No, no, uspokój się pan, nie bądź zaraz tak dzikim. Lampeczkę wina musisz wypić”. — Stary wyszedł i wkrótce wrócił z trzema flaszkami wina. — „Dobrze się wam dzieje, stary!” — „To nie dla mnie, odparł żebrak, ja wina nie pijam. To dla was, a gdy nie starczą mam inne w zapasie”. — Stary nalał lampkę. Wzrok Oskara nie mógł się oderwać od wina. Jak płynę złoto błyszczało wino, a w każdej kropelce świeciło i nęciło piękne oko dziewczyny. Oskar wychylił kielich, stary znów napełnił. Czem raz szybciej wychylał Oskar wino, czem raz prędzej napełniał stary kielich. Krew gwałtownie krążyć poczęła w żyłach młodzieńca, serce uderzało podwójnie a usta drgały. — „Starcze, two wino jest dobre!” — „Nieprawdaż, mój synu? Nad Hindusem zbierane, a mam lepsze”. — „Dawaj go tu, wesoły koleżko!” — „Chwilkę cierpliwości, chcę ci wpierw pokazać me piękne rzeczy”. — Zasłona się podniosła, a nad wzburzonym

Oskarem wzniosło się sklepienie kryształowej sali, która jaśniała światłem tysiąca świec ukrytych. Wszystko co ciemne głębie ziemi posiadają, wszystko co sztuką człowiek jest w stanie stworzyć, wszystko to jednoczyła sala pełna bogactw i przepychu. Złoto, srebro i drogie kamienie pokrywały ściany, tysiące klejnotów i naczyń stało wokoło; na ścianach wisiały różnorodne zbroje, a setki ptasząt świegotały i nuciły i skakały po złotych pręcikach. Oskar był zachwycony; wzrok jego poił się blaskiem i pięknnością sali, aż znużony spoczywał chwilę na posadzce. Wtem zawołał chrapliwy głos: *weź mnie! weź mnie!* Oskar spojrział i ujrzał szpaka, na którego szyi wisiał trójkąt uwiązany na wstążce. Trójkąt był złoty, a diament, szafir i rubin upiększały jego rogi. Oskar nie mógł się oprzeć chęci oglądania tego klejnotu. *Weź mnie! weź mnie!* wołał szpak. „Stary, mówił Oskar, musicie mi dać ten trójkąt”. — „Wcale nie głupie żądanie, mój panie, tym trójkątem opłacę trzy państwa”. — „Dobry staruszk, daj mi ten trójkąt, wszak masz tu tyle rzeczy”. — „Nie mój panie, wybieraj co chcesz innego, ale nie to”. — *Weź mnie! weź mnie!* wołał coraz bardziej ochrypłym głosem szpak. Oskar wyciągnął rękę po trójkąt, stary go powstrzymał. Oskar go odtrącił, stary groźnie podniósł kulę. Młodzieniec rzucił starca o ziemię, który bronił się z wysiłkiem. *Weź mnie! weź mnie!* piszczał szpak. Wtem błysnął sztylet na ścianie. Oskar pochwycił go i uderzył starca w serce, który padł bez życia na ziemię. *Weź mnie! weź mnie!* krzyczał raz po raz szpak. Oskar zdjął trój-

kąt ze wstążki i szukał drzwi. Wówczas wszystkie ptaki poczęły wołać: *Weź i mnie! weź i mnie!* Oskar się odwrócił i spotkał się z złamanym wzrokiem starca. Dreszcz przerażenia ogarnął młodzieńca; śmiertelna bladość pokryła twarz jego, zachwiał się i padł na kolana! *Morderca! morderca!* wyły tysięczne głosy z sufitu. Rozpacz ogarnęła Oskara; wyjął skrwa-wiony sztylet z piersi zabitego i zmierzył nim w swe własne serce. Wtem poczuł się wstrzymanym. Starzec stał przed nim, lecz bez kul. Toga śnieżnej białości okrywała go; a długa broda okalała twarz jego! — „Oskarze! mówił uśmiechając się, ty nie chciałeś zaufać twym zmysłom, lecz sercu zawierzyłeś! Szlachetny, tyś nadużył wina, okradałeś i mordowałeś — czy wierzysz teraz, iż umiem czarować?” — Oskar pomieszany i zawstydzony padł do nóg staremu. — „Przebacz mi ojcze!” — „Pówstań, mój synu! Nie zgrzeszyłeś; tylko w śnie byłeś zbrodniarzem”. — „O mój ojcze, odczaruj te bogactwa i błyskotki, które dały mi poznać przepaści mego serca!” — Stary skinął, sala zniknęła i znów się ujrzał Oskar w przyjaznym, cichym pokoju. Lecz trójkąt, który go skusił, leżał przed nim na stole, — „Każ mu zniknąć!” — prosił Oskar. — Stary dotknął się go, a trójkąt zamienił się w bukiet kwiatów. Djament był lilią, szafir fiołkiem, a rubin tulipanem. — „Weź te kwiaty, Oskarze, mówił starzec. Lilia to niewinność, fiołek to pokora, tulipan to zdrowie. Przedewszystkiem pielęgnuj tulipan; jak długo on kwitnie, kwitną i inne kwiaty. Zdrowie jest naczyniem cnoty; braknie ci go, zabraknie i cnoty. Dowiedz się teraz, mój sy-

nu, kto jes' em. Duchy, które mnie pojmują, nazywają mnie czarodziejem Honestusem; dla zwykłych ludzi, jestem zwykłym człowiekiem. Od dwu tysięcy lat błędzę po ziemi i szukam cnoty. Spotykałem ją często, lecz zawsze brakło jej szczęścia. A to mnie bolało bardzo i martwiły mnie drwiny złych ludzi; gdy cnotę nazywali żebraczką. Wtem ty się narodziłeś pod szczęśliwą gwiazdą, a ja czuwałem nad życiem i postępowaniem twojem. Jesteś dobrym, Oskarze, i dlatego jesteś wesołym i szczęśliwym. Moje czarodziejstwo nie ci dodać nie może; lecz chcę ozdobić twe cnoty, przyoblec w błyskotki twe szczęście, by dobrych zachęcić a złych upokorzyć. Weź te oto pergaminny. *Mądrość* to napis pierwszego, *bogactwo* tytuł drugiego, *potęga* to treść trzeciego. Z tych trzech rzeczy, możesz wybrać tylko jedną". — Z radosnem drzeniem pochwyił Oskar karty pergaminowe, a serce dumnie biło na myśl tylu bogactw i skarbów, które trzymał w swem ręku. Najpierw wyciągnął mądrość i już miał odrzucić inne karty, gdy dobry duch go powstrzymał i począł się namyślać. — Czyż pożądanie mądrości nie jest chciwością, która umiera nasyciwszy się lub cierpi brak wieczny? Czyż uczyni mnie ona szczęśliwszym? Tych kilka promieni wiedzy, które otrzymałbym mocą tej karty, odkryłyby mi tam przepaści, gdzie inni widzą łąki kwieciste. Czyż mam zmniejszyć i tak już małe kółko mych znajomych? małe kółko, tych, których kocham? czyż mam się nauczyć pogardzać tymi, których szanuję? czy nie jestem dość samotnym? O nie! Mądrość jest zdrażliwym podarun-

kiem zagniewanych Bogów. Precz odemnie! I Oskar odrzucił kartę mądrości. Honestus przycisnął do swej piersi wzruszoną młodzieńca i rzekł: „Największą pokusę przetrwałeś zwycięzko, teraz już nieobawiam się o twój wybór”. — Oskar wziął w rękę bogactwo, uśmiechnął się i spokojnie odłożył na bok. Została potęga. Rządzić światem! Uszczęśliwić milion ludzi! Pozyskać serca milionów! Dobrych nagradzać, złych karać! Piękną jest potęga, piękną jak róża. Lecz jej kolce! A pod różą czycha wąż pochlebstwa. *Któż* trzymał berło w ręku? *on* prowadził rękę. Nie potrafię być lepszym od innych; jedno tylko mogę — zrzec się korony... i Oskar odrzucił koronę.” — „Dzięki ci mój ojcze, ja nie mam żadnego życzenia”. — Starzec przemówił do niego surowo i poważnie: „Jako Oskarze, jesteś szczęśliwym dlatego, żeś *ty* szczęśliwy? Jesteś zadowolony, dlatego że *ty* nic nie pragniesz? Czyż jesteś sam tylko na ziemi?” — Młodzieniec się zarumienił. I wszyscy ci przyszli do niego, którzy mu drodzy byli. Najprzód jego matka i ojciec, potem siostra i brat, potem przyjaciółka, przyjaciel; wreszcie do niego przyłączył się i jeden i drugi i wielu. I co raz bardziej zwiększał się ten orszak i serce młodzieńca szybciej uderzało i rozszerzało się, aż objęło całą ludzkość. — „Cóż wybierasz dla drugich?” pytał Honestus. — „O mój ojcze, ja nie umiem wybierać, uszczęśliw wszystkich ludzi!” — Honestus się uśmiechnął. „To, czego żądasz Oskarze, jest niemożliwem: tylko cnota może nas uszczęśliwić”. — Oskar padł do nóg starca i składając ręce błagał: „więc uczyni ich wszystkich cnot-

liwymi, niech będą szczęliwymi! niechaj wszyscy do-
brymi zostaną i szczęsnymi!" — Honestus pobladł
i mówił drżącym głosem: „Nie żądaj tego, mój synu!
nie mogę ci odmówić, lecz nie żądaj! grzech jest
zgnilizną, a zgnilizna jest źródłem życia". — Ale
Oskar w zapale swej miłości nie dosłyszał słów
starca. Objął jego kolana i ze łzami w oczach bła-
gał: „O mój drogi ojcze, daj ludziom cnotę, daj im
szczęście". — „Powtórz to trzykrotnie, Oskarze!" — I po
trzykroć powtórzył młodzieniec swą prośbę — „Niech-
że się tak stanie! Wkrótce uderzy północ; o tej to
porze muszę czar pochwyć, zwrócić naturę na inne
tory, bym został jej panem. Jeszcze czas, namyśl się,
Oskarze!"

Północ wybiła. Honestus skinął swą laseczką cza-
rodziejską na wschód i zachód, na północ i połu-
dnie i wyrzekł tajemnicze słowa. Z niebios spływa-
ły słodkie tony harmonijne, z ziemi podniosły się
straszliwe śmiechy. Oskar pomiędzy zachwytem a prze-
rażeniem pytał z kąd ten śmiech? — „Cicho, mój sy-
nu! odpowiedział starzec szeptem, to duch przekory
i grzechu, nad nim nie mam mocy, nie drażnij go.
Pójdź, obaczmy nasze dzieło". — Wyszli; była to
cicha, spokojna noc, Oskar wzniósł pobożnie swój
wzrok na gwiazdziste niebo. A wzruszony starzec
przemówił: „Raduj się jeszcze ten raz tą słodką no-
cą; ona jest ostatnią na ziemi. Noc jest grzechem,
a słońce nigdy już nie zajdzie". — Szli wąską ulicz-
ką i ujrzeni drabinę przypartą do jednego z domów,
po której się spinał człowiek trwożliwie się ogląda-
jący. „Czy pozwolisz na to? pytał Oskar, on może

zabije sennego". — „Uspokój się mój synu. Popętniono kradzież, północ oddała mu cnotę i skradzione rzeczy oddaje ten człowiek". — Honestus szedł dalej z wesołym młodzieńcem; wszędzie wchodząc, wszystko widząc, będąc niewidziani. — „Cóż to za głosy, które płaczą w tem zabudowaniu?" — „To są rozbójnicy i mordercy w więzieniu, modlą się". — Weszli do pokoju, oświetconego nocną lampką. Piękna kobieta klęczała z rozpuszczonym włosom przed kołyską dziecka i całowała śpiące dziecko i płakała nad niem. Pod drzwiami stał człowiek, który zarumieniony podawał rękę kobiecie, ta zakryła swe oczy. — „Któż są ci?" — „To jest uwodziciel, przyszedł w oznaczonej godzinie zawezwany przez żonę przyjaciela. Moja laska czarodziejska uprzedziła występki, przyspieszyła skruczę, matka prosi dziecka o przebaczenie, a uwodziciel zawstydzony z płaczem żegna piękną grzesznicę". — Przyszli na wielki plac, ozdobiony licznymi drzewami. Zewsząd z domów i ulic biegli ludzie i żołnierze, pieszo i konno, sztandary powiewały, trąbki grały, brzoń czyszczono, hałas, gwar, dźwięk broni i zamieszanie panowały w okolicy. — „Cóż to się stało?" pytał Oskar. — „Ci co z domu wychodzą są gracze nieponie, lamparci i szpiegi, których czar cnoty wypędził z ukrycia, a uienawykli do jej potęgi zbiegają się licznie by się z cnotą zmierzyć".

Zajaśniał poranek, lecz nocna cisza pozostała. Żaden wózek nie turkotał po ulicach, nie krzyczał wieśniak i przekupka, nie odezwał się młot rzemieślniczy, a targowica próżną była. — „Dlaczego ta cisza

Honestusie?" — „Ludzie nie posiadają fałszywych pragnień, są umiarkowani i spokojni”, — Przed domem piekarza stali kupujący narzekając głośno. Chleb został już bezpłatnie głodnym rozdany. Setki trupów leżały po ulicach. — „Któż są ci nieszczęśliwi?” — „To są szpiegi, którzy woleli umrzeć z głodu, byle nie karmić się hańbą”. — Przyszli do pałacu królewskiego, zostawionego bez straży. Król nie obawiał się nikogo, gdy się jego nikt nie bał. Weszli w przedsionek, gdzie byli zebrani dworzanie i ujrzeli łzy w ich oczach. Jakiś starzec z boleścią rzucił się do stóp młodzieńca i rzekł: Przebacz mi, ja cię oczerniłem! Weszli do sali królewskiej. Król siedział na tronie, a wtem wbiegła kobieta, padła mu do nóg i wołała: Powstrzymaj twój miecz sprawiedliwości, on jest niewinny! A powiernik króla pobladł i rzekł: I ja cię oszukiwałem, mój Panie. I król ze łzami w oczach zszedł z tronu.

Honestus i wzruszony Oskar wyszli z pałacu. Kroczyli nad brzegiem rzeki i tu natrafili na ciało młodej dziewczyny. Oskar odwrócił swą zbladłą twarz. „Nieszczęśliwa! przemówił Honestus. Ubiegłej nocy straciła swą niewinność i zrozpaczona utratą tego najpiękniejszego skarbu, znalazła śmierć w nurtach rzeki”. — Przyszli do mostu. Tam stał smukły, bładny młodzieniec; patrząc to w niebo, to na fale. Wyglądał bardzo nieszczęśliwie, lecz oko jego było suchem. Oskar czuł się dziwnie pociągnięty widokiem tego młodzieńca. — „Kto jest tym młodzieńcem, mój ojciec?” — „Dalej, dalej idźmy, zawołał Honestus z przerażeniem, i zapłaczą Oskarze nad niedolą,

iż stała się człowiekiem!" — „Wstrzymaj się mój
 ojcze i powiedz, kto jest tym cierpiącym młodzień-
 cem?" — „Przybliź się Oskarze! Spojrzyj na tę twarz,
 jak bladą jest! Niegdyś usta jego były purpurowe,
 a blade gdy słyszał o uciemieniu. Patrz na ręce
 wychudłe i osłabłe! Niegdyś były silne, jak stał za-
 hartowane, by walczyć za prawo. Spojrzyj w to oko
 zamglone! Dawniej świeciło blaskiem niebiańskim
 i mogło przykuć do siebie serce szlachetnej dziew-
 czyny. Ach on był tak silnym, tak dobrym; lecz
 wobec uwodziciela jest za silnym, za dobrym? Chy-
 trzy werbownicy kusiciela, pełzali za nim, by go
 zepsuć. Co w niewinnej grze jest szkodliwego, co
 w winie upajającego, co w miłości jadowitego, wszyst-
 ko to wsączyli w jego duszę. I oddał się za podłe
 złoto. Oni go prowadzili z żartu do lekkomyśl-
 ności, z niej do fałszu a z fałszu do zbrodni.
 To ucho, li otwarte dla enoty, zdradziecko nadślu-
 chiwało nieostrożnych słów. To oko, marzące o wza-
 jemnej miłości, szukało ciemnych dróg zaufania i skry-
 cie zabijało ufających. Ta mowa, która śpiewała tyl-
 ko o miłości i przyjaźni, stała się gadziną, truła
 i kąsała. I zdradzał wiernego przyjaciela, zmarłego
 wczoraj na szafocie. Ostatnie słowa biednego skaza-
 nego były: *pomścij mnie*, które szepnął niecnemu
 zdrajcy. Czart uśmiechał się drwiąco a wieczorem
 hulał za podłą zapłatę swej zbrodni. Wtem przyszła
 północ, którą Oskarze zakląłem na twe prośby. Stras-
 liwy sen rozbudził go... *ja pomścę!* wołał on w roz-
 paczy i biegł na most. Od północnej godziny szuka
 nieszczęsny śmierci w falach rzeki, obawia się jej

i znów jej szuka". — Błady młodzieniec patrzył w tej chwili w rozwartą toń. — „Powstrzymaj go, zawołał drżący Oskar; to za okropna kara, stanąć z taką zbrodnią przed Sędzią”. — „Oskarze! przemówił starszec, dalej mój czar nie sięga. Grzech i zbrodnia go opuściła, godzina skruchy nadeszła; co zawinił, chce odpokutować”. — Oskar z bólem niewysłowionym rzucił się do nóg czarodzieja. „Więc oddaj mu grzechy a weź skruchę! Daj ludziom wszystkie ich pragnienia! Oddaj im ich występki! Daj wszystkim ludziom, wszystkie ich grzechy!”

Obudził się..... oni posiadali je znowu.

VI.

Z a Ż y d a m i.

(1819.)

Za prawo i swobodę należałoby napisać; lecz gdyby ludzie to rozumieli, nie byłoby potrzebnem pisać w tej sprawie.

Ponieważ nie mają punktu oparcia, ani w duchu, który jest słuszością, ani w sercu, które jest miłością, poślizgują się i padają przy każdym poruszeniu, każdy krok oddala ich od celu, każde doświadczenie, czyni ich mniej doświadczonymi, każde zjawisko jest im obcem i budzą się każdego ranka jako nowonarodzeni. Nie znając budowy ludzkości, przedstawia się im ona jako zbiorowisko jednostek:

nie rozumiejąc budowy państwa, widzą w niem bezładne nagromadzenie różnorodnych zachcianek i wymagań, które starają się otrzymać pierwszeństwo je-
dne przed drugimi a wzajem sobie są nieprzyjazne. Z tego to powodu, tyle różnorodnych rzeczy zaciem-
nia umysł tych biednych ludzi, i prawie za surowym jest wyrok Opatrzności, że pokutę winy setek lat nałożył na jedno tylko plemię.

Nasza niemiecka ojczyzna leży słabą. Ją uzdrowić, jest naszym zadaniem; ale taka różnorodność pojęć jest panujących ludzi, że mimowoli owłada nami ży-
czenie, oby tylko wielu było źle życzących tej spra-
wie, gdyż najbardziej szkodliwymi są dobrze myślą-
cy. Ci pierwsi z radością patrzą na rozwijające się
zło i rzadko kiedy czynią coś gorszego, jak pozo-
stawiając naturze przebieg tegoż zła. Drudzy atoli,
litościwi, chętni do pomocy lecz nieświadomi, prag-
ną działać. Każdy członek ciała cierpi, tedy dla każ-
dego członka i dla każdej z osobna choroby ma-
ją osobny sposób leczenia i uzdrowienia. Są oni
na tyle szaleni, że na rozgorączkowany puls przy-
kładają plaster uśmierzający, jak gdyby cała cho-
roba tam miała swe źródło. Czyż tak nie jest?
Czyż wy znacie bieg krwi narodowego życia i czyż
nie potrzebuję wpierv prosić was o pozwolenie,
gdy mówiąc o wzniosłych sprawach, *poniżę się* do
żydów, jak to wy mówicie? O nienawidzących ten
nieszczęśliwy naród nie mówię; li tylko o chę-
tnych, o obojętnych. To prześladowanie żydów, po-
winniście sądzić, nie jest rzeczą błahą, nie jest spra-
wą antynarodową. Wprawdzie, wstrętne, ospowate usta

nie zachęca młodych dziewcząt do pocałunku; lecz dla lekarza są dowodem istnienia złych soków.

Jeśli chcemy mówić o nieprzejednanej nienawiści, prześladowanej żydów od ośmnastu wieków, nie powinniśmy rozprawiać o tem co było, lecz o tem co jest i będzie. W spełnionym fakcie była konieczność, w mającym się spełnić jest wolność. Co ludzie zawinią, nie co ludzkość zawini, może być sądzonym; błąd trwający prawie dwa tysiące lat stoi wyżej od każdej nagany. Jednak jeśli duch badawczy wzniesie się wysoko i spokojnie po nad mgły i wzburzone fale, nad namiętnościami, zawilami stosunkami, i wyrówna każdy grzech, każdy błąd, to nie powinni niżej, podli, niespokojni i szaleni ludzie szukać na tych wyżynach usprawiedliwienia swych czynów i działania. Gdyż jako ziemia obraca się koło swej osi, przebiegając drogę słoneczną, tak też i człowiek działa w podwójnym kierunku, w szczególnym i ogólnym. Pierwszy pędzi go niewstrzymanie naprzód; to jest ios jego. Drugi zależny jest od jego woli; to jest wolność.

Gdzie przyczyna srogięgo przeznaczenia żydów, trudno oznaczyć, gdyż naród ten nie ukończył swego życia a dopiero śmierć objawia takie tajemnice. Zdaje się, że wynika to z posępnej, nieokreślonej groźby, która otacza żydowstwo, towarzyszące ponuro i drwiąco chrześcijaństwu, jako ciągły wyrzut sumienia, jako duch zabitej matki.

Lecz zstąpmy do swobodnych działań ludzi, do tych niskich, bagnistych okolic, gdzie przemieszkuje cały ród wstrętnych, jadowitych węzów, gdzie

rozwijające się wyziewy zatruwają istotność tylu niewinnych pokoleń i każą się płacić ceną życia.

Niegdyś palono żydów i odszczepieńców z religijnego zapału, ponieważ to było nieludzkiem, więc nie można osądzać po ludzku. Pomordowanych obdzierano; gdyż bogactwo ofiar krwawych było nagrodą usłużności księży. Ale obecnie, gdy nawet najpodlejszy świętoszek nie ośmielił się powiedzieć, że prześladowuje żydów z powodu różnicy religijnej, czemuż upiększa swą złośliwość? Dawniej mniemano, że żydzi nie idą do nieba i dlatego nie chciano ich cierpieć i na ziemi; lecz teraz, gdyśmy im niebo otworzyli, czemuż niszczymy ich na ziemi?

Z najbezwstydniejszym udawaniem występują przeciwko żydom, kłamliwe podejrzenia z taką niesłychaną bezczelnością są rzucane, że nawet przychylni bywają tem oszukiwani, gdyż trudno im przypuścić, by oszukiwano ich tak niezręcznie. Z tego to powodu chcę głupców odmaskować, a twarze złoczyńców oświetlić. Będą oni hałasować i piszczeć jak wystraszone sowy. — Za zbyt wysoko mądrzy powiedzą: nie należy mową wzburzać umysłów. Są oni zdania, że gdy wszystko w ciemności zostaje, wówczas nie widzą się nieprzyjaciele i cisza musi panować. Lecz lepiej jest, by noc rozświeciła pochodnią prawdy, aniżeli nienawiści. Prawda drażni, ale nie poi goryczą. Uczucie wstydu boli, lecz winnych prowadzi do skruchy, a nie do powtórzenia występku. Lud wykształcony nauczy się poznania, że popełniwszy złe nie zyskał żadnej korzyści. Zrozumie, że poprowadzono go do nadużycia wolności, by móżdżek później

powiedzieć, iż nie jest godny wolności, a że go postanowiono dozorcą więzienia żydów, to uczyniono dlatego, ponieważ tak dozorca jak i więzień nie mogą opuścić więzienia. Cała różnica polega na tem że jedni mają więcej drzwi inni mniej, obydwaj są jednak bez wolności.

W ostatnich dziesiątkach lat przed rewolucją francuzką, przez niemieckich uczonych prawników były postanowione bardziej ludzkie i rozsądne prawa w kwestyi żydowskiej, tak w stosunkach państwowych, jako też prawniczych w ogóle, a francuzi rozpoczęli swą reformę państwową od tego, że proponowane przez niemców prawa w życie wprowadzili. W Westfalii, wielkiem księstwie francuzkiem i w innych niemieckich krajach, zostających pod rządem Napoleona, wprowadzono z francuzkim kodeksem także uprawnienie żydów w obliczu prawa. Przeprowadzono to bez okazywania niezadowolenia lub szemrania ludu niemieckiego. Napoleon ujadł, Niemcy zostali wolni. Natychmiast podniosły się głosy niektórych pisarzy z północnych Niemiec przeciwko żydom a wolne miasta, zwłaszcza zaspany Frankfurt, wyszukiwały dawne prawa żydowskie a raczej bezprawny stan dawniejszy wobec żydów i z kurzu archiwalnego dobywać je zaczęły. Należy zbadać, z kąd jedno i drugie powstało.

U niemców, którzy całą tyranję Napoleonowi jednemu włożyli na barki! zespoliła się nienawiść francuzów i popęd wolności w jego uczucie. A jak

to często się zdarza, że pogardzony nawet dobrem i zapoznajemy je, jeśli ono pochodzi od wrogów, tak też zapoznano i pogardzono rzeczą godną poważania, która wraz z francuzkiem prawem do Niemiec weszła. Tak więc poczęto uważać za rzecz szkodliwą w niektórych miejscach wolność obywatelską żydów, daną im przez francuzów. Do tego przyłączyło się mniemanie, jakoby żydzi byli zwolennikami francuzkiego panowania, gdyż oni, chociaż na równi z innymi niemcami ucierpieli w tym najeździe, jednakowoż znaleźli rekompensatę. Można przebaczyć to uczucie owładające nami przeciwko tym, którzy korzystają z naszej niedoli — sądzę, że jest to *słabośćka* dająca się wybaczyć!

Sławni, publiczni mówcy, którzy uzbrajali i entuzjazmowali niemiecki naród, chcieli pouczyć drugich, czego się sami nauczyli, a mianowicie, że ojczyzna dlatego tylko uciemieżoną została, iż była rozdrobnioną. Jedności panowania nie mogli wprowadzić, więc pragnęli przynajmniej jedności narodu pod względem ducha, serca i równego pożywienia dla obudwu. Pokarm ten jednak, sądzą oni, musi być zastosowany do dziecięcej natury i słabości niemieckiej wolności, musi być lekki i strawny. Żydzi, z ich obczyzną, z ich odrębną cywilizacją, zdawali się im być za nadto samoistni, by się mogli zassymilować z ogólną wolnością, była ta potrawa twar- da, niestrawna. Do tego przyłączyły się różnorodne, teatralne sztuki. Chciano, podobnie jak w operze, mieć jednostajny i harmonijny chór, chciano widzieć tylko niemców, wychodzących z lasów jak u Tacyta,

rudowłosych, o niebieskiem oku. Czarni żydzi zbyt się odróżniali. Wreszcie ten za czasów walki o niepodległość niejasny popęd, który się później skryształizował, iż cała dążność i walka narodu musi być skierowana przeciw arystokracji, popęd ten skłaniał pisarzy do nieprzyjaznego usposobienia dla żydów. Gdyż żydzi i szlachta, to jest pieniądz i przewodnictwo, to jest rzeczowa i osobista arystokracja, stanowiły ostatnie jeszcze filary systemu feudalnego. Oni trzymają za sobą. Albowiem żydzi, zagrożeni przez lud, szukają opieki u możnych panów, a ci, przestraszeni równością, szukają broni i twierdzy w pieniądzach. Należy ich rozłączyć, czyniąc zbędną opiekę żydów ze strony możnych, by ci nie mogli zaciągać pożyczek żydowskich i zostawali pod opieką i kierownictwem mężów zaufania wyszłych z ludu.

Od czasu, gdy nie potrzeba żadnego symbolu, żadnego hasła, żadnego znanego i widnego sztandaru i z chwilą, gdy wszyscy Niemcy wiedzą o co walczą i gdzie jest punkt zborny, ustała nienawiść Francuzów i rozpalające kazania na ten temat. Jesteśmy przyjaźnie usposobieni dla Francuzów, gdyż naród ten za nas walczył, za nas krew przelewał, grzeszył i pokutował, i z czystym sumieniem możemy zbierać plony, które posiała niejedna ręka zbrodnicza. Od tego czasu umilkły nauki o nienawiści żydów, a pisarze starający się rozszerzać te szkodliwe zasady złożyli pióro. Należy im wybaczyć ten błąd, gdyż poznali go. W ich mniemaniu było to rzeczą sprawiedliwą, a prawda nigdy za drogo okupioną nie została, chociażby ją opłacono chwilowem szaleństwem.

VII.

Uczta graczy.

Niemieccy handlarze i kontuarzyści, wytwarzający, się nietyle z książek, jak raczej z manuskryptów zwykle sądzą, iż my książkowi uczeni jesteśmy głupimi we wszystkich światowych, niedrukowanych rzeczach, uważają nas jako pewien rodzaj słowików, swobodnych w ciszy i ciemnościach. Ja sam długi czas tak sądziłem i przekonanie, że moja uczoność nie jest zbyt wielką, było mi prawdziwą pociechą. Lecz zmieniłem me zdanie zwłaszcza od czasu gdy żyję w Paryżu. Przekonałem się, że my generalnie-geografowie z kompasem i gwiazdą łatwiej nawet ścieżki w świecie znajdziemy, aniżeli przemysłowcy z kartą specjalną w ręku wyszukają gościniec, uzbrojony empiryczną psychologią Hofbauera i innymi pięknymi wiadomościami filozoficznymi, umiałem się, mimo mej młodości, ustrzedz w Paryżu blagieryi i nigdy nie zabłądziłem na meandryczne drogi rozkoszy i oszukaństwa. Gdy przeciwnie wielu niemieckich przemysłowców, których w Paryżu poznałem, bardzo lichy wyszli, i fatalnie zostali oszukani wyjąwszy w sprawach, prowadzonych w ich niemieckich domach handlowych. Pewien przemysłowiec z Bremy chwalił mi bardzo swego służącego, jako najpocziwszą pod słońcem istotę. Przyszedłem, posłuchałem, poznałem go i wywnioskowałem z zasad empirycznych, że służący jest nicponiem czystej rasy.

Jako młody, silny chłopak towarzyszył zdobyciu Bastylli, podczas rewolucyi, cesarstwa i restauracyi był woźnicą, fryzyerem, woziwodą, portyerem i komisyonerem, po restauracyi został jak wielu innych lokajem. W wieku pięćdziesięciu sześciu lat, był bardzo sentymentalny. Mówił on, iż jego marzeniem i dążeniem, jest uskładanie sobie tyle grosiwa, by mógł wrócić do swej spokojnej wioski rodzinnej nad brzegiem pięknej Loiry i tam, zdala od zepsutego Paryża w ciszy życia ukończyć. Zawiadamiał i pouczał on Breneńczyka o wszystkich nieznanym Niemcowi drogach lampartki, by go przestrzedz. Zwłaszcza nie mógł dość nagannych i okropnych słów znaleźć na opisanie graczy i domów gry i z smutkiem wspominał o szalbierczych środkach, których używają celem ściągnięcia obcych. Między innemi istnieje wielki dom gry, gdzie dwa razy każdego tygodnia dawane są prośzone obiady dla obcych, jedzenie jest prawdziwie królewskie. Breneńczyk, jako bogaty człowiek może i jadał przy stole książęcym, ale nigdy jeszcze przy królewskim, więc miał wielką ochotę zjeść obiad w tym pełnym ponęt domu. Rzetelny służący robił miny ostrzegające, lecz na drugi dzień Niemiec dostał kartę zapraszającą ważną prócz tego na dwie inne osoby. Poprosił mnie na towarzysza. O piątej godzinie popołudniu udaliśmy się do wskazanego hotelu. Z śmiałością człowieka uczciwego wobec tajdaków wszedłem do pałacu. Lecz mój Boże, jakimże głupcem jest człowiek i jak słabemi są jego oczy, że ugnie się przed każdym nawet kłamliwym majestatem, choćby z najgorszego tom-

baku! W tej świątyni gry, było wszystko tak uroczyste, tak poważne, tak taktowne i przyzwoite, że moje zachcianki humorystyczne, z któremi tu przyszedłem, bardzo prędko mnie opuściły i przez kilka godzin byłem w największym kłopotcie. Sądziłem, iż znajduję się na dworze Filipa II i potrzeba było szampana i innych szlachetnych trunków, by wzmocnić me słabe serce.

Jeszcze w ulicy, przed hotelem uczuliśmy się zaniepokojeni. Najpyszniejsze ekwipaże z strzelcami stały przed hotelem a z nich wychodzili udekоровani dygnitarze. Myśmy jedni tylko przyszli pieszo. Portyer, gdyśmy obok niego przechodzili zapytał nas, gdzie my idziemy? Odpowiedzieliśmy, że idziemy obiadować z graczami! Portyer uśmiechnął się i rzekł, tu się nie obiada. Bremeńczyk pokazał kartę i wolno nam było iść dalej. Weszliśmy do pokoju na parterze, w którym zabawiało się tuzin może zarozumiałych lokajów. Bremeńczyk zapytał: gdzie się obiada? Otrzymał jako odpowiedź: nie tutaj!— Wyszliśmy i po schodach dostaliśmy się na pierwsze piętro, gdzieśmy odkryli salę jadalną. Bremeńczyk zapytał służących zajętych przygotowaniami: o którym czasie obiad podają? Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Zeszliśmy więc na dół i znów wstąpiliśmy do pokoju lokajów. Na pytanie: czego szukamy? pokazał Bremeńczyk po raz drugi swą kartę, i wówczas odebrano nam kapelusze i wprowadzono do salonu. Gdy wstąpiłem, zauważyłem, iż wielu panów surowo spoglądają na moje nogi, i ze strachem spostrzegłem, że byłem jedyny w butach. Siadłem przy

stoliczku, by ukryć me nogi a pokazać tylko głowę i serce i czytałem kilka ultramontańskich dzienników. Gdym powstał przyszedł do mnie wielki, poważny mężczyzna, majestatycznej postawy, równającej się tejże Ludwika XIV i zapytał kto jestem i czego potrzebuję? Pan ten chował brodę w halsztuku, co było złym znakiem; badaczom ludzi muszę wyjaśnić, że takim ludziom chowającym brodę można ufać, byle nie wiele. Natychmiast zrozumiałem fatalność mego położenia, lecz miałem na tyle przytomności umysłu, iż udałem, że nie rozumiem. Ponieważ jednak musiałem mu odpowiedzieć, postanowiłem użyć języka, którego i on nie rozumiał. Wprawdzie z zasady francuz umie i zna tylko język rodzinny, lecz gracze są kosmopolitami i poliglotami. Przygotowałem więc na prędce mieszaninę językową z niemieckiego Herr, włoskiego Signore i angielskiego Sir. Ta Olla Potrida poskutkowała. Cała rzecz bowiem polegała na tem, by zyskać na czasie, póki mój przyjaciel z Bremy nie nadejdzie. Wreszcie przyszedł a ja pokazałem pantomimicznie, iż oto jest pan, który najlepiej poinformuje drugich o mej osobie. Poważny pan (markiz, jak o tem się później dowiedziałem, czyniący honory gospodarza domu w imieniu towarzystwa graczy), zapytał bremeńczyka, gdy mu ten po wielu ukłonach oświadczył, iż mnie z sobą przypro-wadził, co *on* za jeden? Bremeńczyk wymienił swe nazwisko. Markiz odpowiedział, że nie ma zaszczytu znać go; wówczas wyciągnął on po raz trzeci kartę zapraszającą. Teraz dopiero pozdrowił nas markiz, a gdy się dowiedział, że my jesteśmy Niemcami, rzekł, iż on

był także w Wiedniu: francuzi bowiem uważają Wiedeń, jako stolicę Niemiec i nic nie wiedzą o naszych szczęśliwych, małych państwach związkowych.

Zaproszono do stołu. Wprawdzie widziałem wiele niemieckich dworów ucztujących, ale z dalekiej perspektywy, z galeryi. Pierwszy to raz brałem czynny udział przy stole książęcym, jako członek rzeczywisty. Co za przepych i bogactwo! Na szczęście dnia tego nie byłem usposobiony sentymentalnie, gdyż nie mógłbym wziąć nic do ust. Uroiłbym sobie, że wszystkie te potrawy gotowane są w krwi i łzach, przelanych przez samobójców i zrozwaczonych, a których są pełne domy gry paryzkie. Muszę tu dodać, że prawie wszyscy zebrani goście zjadali z dobrym apetytem, co było pocieszającym objawem ich cnoty, gdyż wiadomo, iż prawdziwi gracze żyją jak pustelnicy, mało jedząc i pijąc. W środku okrągłego stołu siedział markiz, mistrz ceremonii, górujący postacią i powagą nad wszystkimi. Nieustannie podczas całej uczy przynosili mu adjutanci zapieczętowane depesze, złożone w dwunastkę małą z olbrzymimi pieczęciami. Markiz rozpieczętowywał je, czytał, nie zmieniając wyrazu twarzy i podawał je następnie lokajom, stojącym za jego krzesłem. Miało to pozór głównej kwatery armii. Zapytałem się mej empirycznej psychologii, co oznacza ta częsta koresponcyja? Ona mi odpowiedziała: iż są to niewinne liściki miłosne pisane do markiza przez policyę. Ta bowiem zostaje w najprzyjaźniejszych stosunkach z dyrekcyą graców i udzielają sobie wzajemnie swych antropolo-

gicznych spostrzeżeń. Zresztą były nudy przy stole i skracałem sobie czas, urojonemi, śmiesznemi rozmowami, którebym mógł prowadzić odpowiednio do czasu i towarzystwa. I tak naprzykład, jakby to było grzecznie z mej strony, gdybym przy deserze powstał i rzekł: Panowie, jesteśmy tu u siebie, pozwólcie więc wznieść toast za zdrowie Napoleona II! — Lub gdybym też zapytał markiza przez całą szerokość stołu: czy czytał on Platona w tłumaczeniu Schleiermachera? — Albo też, gdybym z moim sąsiadem na lewo mówił głośno o szkodliwości gier hazardowych, zaś mego sąsiada na prawo zapytał: Franchement Monsieur, que pensez-vous de fausses années de voyage de Gillaume Meister, par Monsieur Pustkuchen?

Po skończonej uczcie i czarnej kawie rozpoczęła się gra. Mój przyjaciel z Bremy, był zdania, że podobny obiad kosztowałby nas do pięćdziesięciu franków, więc byłoby rzeczą niedelikatną, gdyby jeden z nas nie grał. Odpowiedziałem, że jeśli chce być tak uważającym, ja nie mam nic przeciwko temu, co do mnie grać nie myślę. Bremeńczyk grał i posunął swoją delikatność do tego stopnia, że przegrał tysiąc dwieście franków. Ja przez cały ten czas czyniłem moje uwagi, co do gier hazardowych. Po pierwsze: że powaga, jaką trzymający bank się osłania, jest nieznośną. Przecież mogliby trochę pożartować, węże jadowite mają przynajmniej barwną skórę. Lecz i to prawda, że ta surowość i powaga jest jednym z grzechów śmiertelnych i najwyraźniej odzwierciedla się w niej duch zarozumiałości. Fryderyk Schlegel może pisać i mówić, co mu się żywnie po-

dość, nie pozwolij jednak zapomnieć swych znakomitych słów: „człowiek jest poważnem zwierzęciem”. Z wszelką pewnością starzy senatorowie rzymscy w chwili napadu gallów nie mieli poważniejszego oblicza, jak urzędnicy paszportowi, gdy nas opisują. Najwięcej mnie złościła zawsze powaga bankierów i innych przemysłowców. Liczyć pieniądze, zarabiać je i obliczać dochody, jest to wprawdzie bardzo mało wesołe zatrudnienie, ale wcale niewzniosłe i trudne pojąć, z jakich powodów ci panowie ubierają się w napszoną powagę, gdy wchodzimy do ich bióra. — Druga uwaga nasuwająca mi się przy grach hazardowych jest następująca: Gdyby można całą tę siłę i namiętność, wzruszenia duszy i natężenia, obawy i nadzieje, nocne czuwania, radości i zawody, które rok rocznie Europa traci przy stolikach gry razem zebrać — byłoby to dostatecznem do utworzenia rzymskiego narodu i rzymskiej historii. Otóż tu właśnie jest sedno rzeczy! Ponieważ każdy człowiek rodzi się rzymianinem, więc towarzystwie stosunki starają się go odrzymianić, to tłumaczy istnienie gier hazardowych, romansów, włoskich oper, eleganckich dzienników, kasynów, herbatek, loteryi, lata nauki i podróży, służby garnizonowej i galowej straży, i uroczystych obiadów, i z piętnaście do dwadzieścia ubiorów, odmienianych dla błotnego przepędzenia czasu — otóż z tego powodu to wprowadzono, by zbędną żywotność osłabić lub zniszczyć. Jak to dobrze, że nie powiodła się człowiekowi podobna operacya z naturą, jak mu się to udało z ludzkością — w przeciwnym razie przemienionoby ocean na zabawne

wodotryski a wulkany na interesujące ognie sztuczne, by burza lub lawa nie groziły zniszczeniu!

Udaliśmy się do domu, ja wzmocniony na ciele i duchu, bremeńczyk bardzo zirytowany. Opowiedział on swemu rzetelnemu słudze, o swym niepowodzeniu. Przy tej sposobności znów zauważyłem, jacy to uprzejmi ludzie są ci francuzi. Niemiecki pedantyczny moralista, któryby jak ów służący ostrzegł poprzednio swego pana, gdy ten nie słuchał dobrej rady byłby rzekł surowo z wyrzutami: dobrze, się panu stało, dlaczego nie usłuchałeś mej rady. Nasz jednak szlachetny służący zachował się inaczej. Z początku, gdy bremeńczyk opowiadał o przegranej, służący uśmiechał się i milczał, prawdopodobnie obliczał w cichości zarobiony procent, którego zażąda od towarzystwa graczy. A potem rzekł: Niech się pan uspokoi, na przyszły raz będzie pan szczęśliwszym, i by go w zupełności udobruchać począł opowiadać różne anegdotki z życia graczy. Między innemi: Wzmiankowany markiz, niegdyś emigrant i restaurowany łajdak, miał to szczęście ożenić się bogato. Pewnej nocy, gdy przegrał cały swój majątek, postawił na kartę dobra ziemskie swej żony i przegrał je do pewnego anglika. Anglik natychmiast wstał od stołu i tejże samej nocy wyruszył w podróż do wygranych dóbr oddalonych czterdzieści mil od Paryża. Przybywszy nad ranem na miejsce zaczął gwałtownie dzwonić jako pan domu. Psy poczęły ujadać, ogrodnik zapytał o przyczynę tak ранней wizyty. Flegmatyczny anglik nie zważał na psy i pytania, lecz spokojnie się rozglądał. W końcu ogrodnik stał się natarczywym, wówczas schwycił

go anglik za kołnierz i wyrzucił za drzwi, mówiąc: „Idź do diabła, nie potrzebuję twych dalszych usług”. Na tę wrzawę obudziła się pani markiza i zestraszona zeszła na dół w nocnym negliżu pytając się anglika: czem mu może służyć? Ten miał odpowiedzieć: „Niczem, przybyłem pospacerować w moim parku” i pokazał akt odstąpienia dóbr. Biedna kobieta, zmarła wkrótce ze zmartwienia. Paryżkie towarzystwo graczy zachowało się jednak wobec markiza bardzo szlachetnie, jak to ono czasem praktykuje wobec swych ofiar, zamianowało go gospodarzem w zmiankowanym hotelu z pensją stu franków dziennie.

Ta zabawna anegdotka nie mogła jednak rozweselić bremeńczyka. Rzekłem mu tedy: „Gdybyś pan był zwyczajnym mieszkańcem Niemiec południowych, jak ja, nie przegrałbyś; ponieważ pan jednak jesteś tkliwym niemcem północnym, grałeś i poniosłeś stratę. Przegrana więc nie powinna być dla pana tak dotkliwą, gdyż pochodzi ze szlachetnego źródła. No i cóż wreszcie się stało? Wszak potrzebujesz tylko o małą drobnostkę podwyższyć cenę aksamitu, a wynagrodzisz sobie tę stratę z naddatkiem. Ponieważ mówimy o aksamicie, więc posłuchaj pan mej rady, kiedyś podziękujesz mi za nią. Zakup pan aksamitu jak najwięcej, ile się to uda w Manchesterze i zapłać żadaną cenę. Mówię prawdę, ziemia jest okrągłą, dziś żyjesz, jutro gnijesz. Kładziemy się spać jako wolno handlujący, jutro budzimy się jako poddani systemowi kontynentalnemu. Dziś Św. Jan, nie zapomnij pan !...” To poskutkowało, bremeńczyk uściśnął mi rękę i rozstaliśmy się życząc sobie dobrej nocy.

VIII.

List do siedmioletniego Niemca w Neapolu.

(1823.)

Kochany panie! Zrozumiesz zapewne natychmiast, dlaczego pana nazwałem siedmioletnim Niemcem w Neapolu: gdyż przemieszkujesz tam lat siedm, czynię to wyjaśnienie dla innych czytelników. Nie czekając pozwolenia, napisałem ten adres, gdyby mi bowiem przyszło czekać na pozwolenie, trwałoby to za długo.

A teraz do interesu, a to do najgłówniejszego. Z przyjemnością wyczytałem w literackim dzienniku sprawozdanie, które pan o ostatnim wybuchu Wezuwiusza nadesłałeś. Wybuch miał miejsce 22 października zeszłego roku, wnioskując z żywego kolorytu pańskiego artykułu musiałeś pan go pisać pod świeżem wrażeniem, a włoska poczta wysłała natychmiast ten manuskrypt do Lipska. Jednak dopiero 23 kwietnia bieżącego roku wydrukowano pańskie sprawozdanie, a więc po sześciu miesiącach. Lawa, chociaż bardzo zwolna płynie, prędzejby była w Lipsku aniżeli pańskie ostrzeżenie. Prosiłbym pana o pomoc, jakby zapobiedz tak trudnemu, powolnemu i uciążliwemu trawieniu niemieckich drukarń. Czy to pochodzi z przeładowania? Lecz we Francyi nie mniej książek się drukuje i pisze, a jednak szybko ukazują się w handlu. Tłumaczenia szkockich romanów, ukazują się w jednym dniu po kilka tomów;

w Niemczech wychodzą w długich przerwach czasu, tak, że z czteru szkockich romansów przeczytałem tylko pierwsze tomy. gdyż zanim się okazały następne zapomniałem o pierwszych, a powtarzać odczytywanie nie chciałem. Dobre dzieła bywają zapowiadane w lipskich katalogach trzy razy, lecz nie są to zapowiedzi narzeczonych z tygodnia na tydzień, ale co pół roku. Z pańskiego sprawozdania widzę, że pan jesteś wytrawnym pisarzem, więc mniej zadowolenia sprawiło panu wydrukowanie aniżeli czytelnikom. Gdyby tak jednak nie było, gdybyś pan był początkującym — w Neapolu pan jesteś, gdzie słońce bardziej grzeje i rozwija prędkiej różne skłonności i namiętności — czy nie umarłbyś pan z niecierpliwości, zanimby twój artykuł ujrzał światło dzienne? Do sześciu miesięcy potrzebnych na wydrukowanie, musi pan doliczyć trzy zanim woźnica przywiezie dziennik do Neapolu. Przypominam sobie dobrze, że gdy szedłem pieszo z Heidelbergu do Frankfurtu w październiku r. 1813, przyłączyłem się po drodze do woźnicy, gdyż życie niemieckich woźniców zdawało mi się bardzo poetycznem i chciałem spożyć ten deser, zanim zabiorę się do gorzkiej pracy. Chociaż jednak miarkowałem me kroki bardzo, nie mogłem równo stąpać z końmi — i po każdym kwadransie musiałem znów wracać, robiąc jedną drogę trzy i cztery razy na kształt pudła. Na wozie spostrzegłem paczkę książek adresowanych do Lipska. Wówczas nie nie zauważyłem prócz adresu: Do *szanownej* księgarni N. N. Pocziwi niemcy! — pomyślałem sobie, nie dość że żyjącym istotom od-

dają honory, lecz nawet rzeczom nieżywotnym, nie mogącym się odwzajemnić! Jeśli pochlebstwo płynie z tak szlachetnych, bezinteresownych pobudek, potrzeba je uzczyć jako cnotę!... W kilka tygodni później wpadło mi na myśl, że może w tej paczce była książka o prawie państw związkowych nadreńskich Klübera, którą ktoś w Lipsku potrzebując zapisał — a gdy nadeszła już jej nie potrzebował, bo tymczasem dobrzy książęta się pogodzili i nadreński związek państwowy został rozwiązany.

W pańskim sprawozdaniu, łaskawy panie (a to jest część druga mego interesu), opisałeś pięknie i groźnie to spływające z Wezuwiusza morze ognia, a potem napisałeś: „W takich chwilach dowcipkowanie, dowodzi serca bez czucia, jeśli nie wprost złego serca. A jednak tak było! Spotkaliśmy tam widzów różnej płci, wieku i narodowości, głośno dowcipkujących. Jeden — niestety Niemiec — ośmielił się wyciągnąć talię kart, mówiąc, że przedsięwziął sobie zagrać partycę wista w obliczu zieżącego Wezuwiusza!! — Na nieszczęście inny Niemiec śmiało wyrwał mu z rąk karty i rzucił w płonącą lawę — a uczynił to z całą słusnością!” Najpierw pozwól mi pan wyrazić pewien domysł, iż w ostatniem zdaniu czegoś brakuje. Po słowach: *śmiało... karty* powinno nastąpić maleńkie zdanie poczynające się od słówka *że* np. *że partycę wistową nie przyszła do skutku*. Przy pośpiechu, z jakim wydrukowano pańskie sprawozdanie, potrzeba podziwiać, iż się nie wkradły inne omyłki drukarskie. A teraz pozwól mi pan wziąć w obronę obie płci i różne narodowości dowcipkujące na Wezuwiuszu. Mówisz pan: kto do-

wcipkuje na Wezuwiuszu, musi mieć serce bez czucia a nawet zła. Tak niesprawiedliwego wyroku nie wydała nawet francuzka rewolucyjna izba sądowa w dniach trwogi! Niemcom pomiędzy dowcipkującymi nie można zarzucić, prócz że powinni swój dowcip w kraju zużywać — innym narodowościom to nawet i tego zarzucić nie wolno. Przyczyną dowcipu nie była za rozumiałość, lecz trwoga, jak to się zwykle dzieje, gdy ludzi w towarzystwie się boją. Kto nie obawia się niebezpieczeństwa, ten uważa na nie, prawdziwy bohater wcale go nie widzi. Lecz czyż można to serce złem nazwać, które jest bojaźliwe? Co się tycze tego niemca, który chciał grać wista na Wezuwiuszu, to ja wprawdzie nie wyraziłbym w ten sposób mego życzenia, gdyż nie umiem grać wista; ale gdyby mi przyszło do głowy „w obliczu lawy” zagrać partyę pikiety, a jakiś dobroduszny współziomek chciałby mi karty z rąk wyrwać, to przemówiłbym do niego w następujący sposób, a zapominając w zapale o przepisach grzeczności byłbym go złażał: „Cudzoziemcze! Nie dlatego nazywam cię cudzoziemcem, iż jesteś z Württembergii, jak to widzę po mowie, a ja z Nassau, lecz dlatego, że twój sposób myślenia i odczuwania jest obcy mej głowie i sercu. Grozisz mi, rzucić me karty wistowe do lawy? Uczyn to, cóż mi na tem zależy, ja kupię sobie inne; dość jest na świecie dam, chłopców, i krzyżyków (żołędzi). Lecz nie sądz, że mnie złudzisz tą grubiańską kokieterią — ja cię znam cudzoziemcze, ty schlebiasz Wezuwiuszowi, gdyż drżysz przed nim, drżysz jak przed burmistrzem w twem rodzinnem mieście. Znajdujesz to małodusznością, grać w wista w obli-

czu tej wzniosłej, zniszczenie siejącej natury! Cudzoziemcze! powiedz mi, czy rzuciłeś kiedy karty w re-sursie, gdzie grywasz, gdy przed oknami tejże dzieci odprowadzały do ogrodu swego ojca. Zartujesz przy śniadaniu z żoneczką, trzymając w ręku gazetę, która donosi o domowej wojnie w Hiszpanii a gdzie nie *jeden* Wezuwiusz wybucha, lecz dwa wulkany sieją mordy i pożogi. Każdą radość zrywamy nad brzegiem przepaści. Tańcz, gdzie chcesz, zawsze będziesz tańczyć nad grobami, kiedy chcesz, zawsze łyzy będą ci towarzyszyć; osiadź z swem szczęściem, gdzie pragniesz, smutek i żałoba są twemi towarzyszami. Czyż nie znasz dowcipu, nie znasz powagi; dowcip jest bowiem pyłkiem pochodzącej powagi, wskazującej jej rodowód. Spójrzaj cudzoziemcze: oto ja sam rzucam karty do lawy, lecz z całą swobodą i wolną wolą, a nie jak ty z pochlebstwa. Podaj mi rękę, württembergczyku, tam leżą zgliszcza mego gniewu”.



SPIS RZECZY.

	Str.
I. Drzewo do budowy romansu.....	3
II. Menee (mieszkańcy księżycy),.....	10
III. Waryat pod białym łabędziem czyli gazety niemieckie.....	42
IV. O lakonizmie w krytyce.....	91
V. Honestus.....	96
VI. Za żydami.....	108
VII. Uczta graczy.....	115
VIII. List do siedmioletniego Niemca w Neapolu	124

stym papierze, kosztuje w Warszawie i we wszystkich agenturach księgarskich :

Dwanaście kopiejek srebrem,

a z przesyłką pocztową *piętnaście kopiejek*. — Dla uniknięcia jednak pomyłek przy przesyłce pieniędzy z prowincyi, samówienienia tylko na kolejne tomiki przyjmować będziemy: to znaczy: nadsyłający rs. 3 kop. 50 otrzymają dziesięć z rzędu wydanych tomików, rs. 3 dwadzieścia i t. d.

Spis autorów których głównie mamy na widoku.

Anakreont, Andersen, Balzak, Béranger, Björnson, Boccacio, Börne, Brentano, Bret-Harte, Bulwer, Bürger, Burns, Byron, Chamisso, Czajkowski, Danilewski, Dante, Delavigne, Dikens, Dumas, Eckstein, Eschylos, Eurypides, Feuillet, Foscolo, Gellert, Girardin, Goethe, Gogol, Goldoni, Goldsmith, Heine, Hoffmann, Holty, Homer, Horacy, Iffland, Jan Paweł, Jokay, Kalderon, Klopstock, Koerner, Krasicki, Krasieński, Kraszewski, Lesage, Lessing, Longfellow, Lope de Vega, Maffai, Maistre, Malczewski, Manzoni, Marlit, Marryat, Mickiewicz, Molier, Moore, Moreto, Morns, Moeser, Murad-effendi, Murger, Nibellungi, Niemcewicz, Osian, Pellico, Pestalozzi, Petöfi, Platen, Plaut, Ponsard, Pope, Ruszkin, Rasin, Rabelais, Rochefoucauld, S. Pierre, Sand, Sandeux, Sardou, Schlegel, Schopenhauer, Schüching, Scott, Scribe, Scheridan, Słowacki, Sofokles, Souvestre, Stern, Swift, Szekspir, Sziller, Tacyt, Tasso, Tegner, Tenyson, Teofrast, Turgeniew, Victor Hugo, Voltaire, Voss, Weilen, Wieland, Wirgiliusz, Zaleski, Zmorski, Zschokke, Zachariae i wielu, wielu innych mianowicie nowożytnych

Biblioteka WSP Kielce



0112886

1. Goszczyński
2. Heine Henryk
3. Börne Ludwik
4. Goszczyński
5. Macaulay. Sz
6. (de) Musset
7. Wiliam Szek
8. Henryk Heine
9. Börne Ludwik
10. A. Chamisso. Dziwna historia Piotra Chlembra.
11. Henryk Heine. Obr. z podr. (Dobosz Legrand).
12. Mark Twain. Humoreski tom I.
13. Petofi. Wybór poezyj.
14. Henryk Heine. Obrazy z podróży. Listy z Berlina.
- 15 i 16. Goethe. Cierpienia Młodego Wertera.
17. La Rochefoucauld. Maksymy i myśli moralne.
18. (de) Musset Alfred. Andrea del Sarto, dramat.
19. Iwan Turgenjew. Pamiętniki myśliwca.
- 20 i 21. Heine Henryk. Księga Pieśni, w przekładzie Al. Mielezki Maliszkiewicza.
- 22 i 23. Szekspir. Otello, tragedia.
24. Karolina Świetla. Powieści wiejskie.
25. Mark Twain. Humoreski tom II.
- 26 i 27. Erckman-Chatrion. Pauli Teresa.
- 28, 29 i 30. Jean Paul. Hesperus (Biografia).
31. Mark Twain. Humoreski t. III.
- 32, 33 i 34. Prevost. Manon Lescaut.
35. Lermontow. Demon.
36. Puszkina. Cyganie.
37. (de) Musset Alfred. Ludwisia.
- 38, 39 i 40. Erckmann-Chatrion. Historia rekruta z 1813 roku.
- 41 i 42. Ar
43. Henryk
- 44 i 45. Wa
46. Henryk
- 47 i 48. Ka

WYŻSZA SZKOŁA
 PEDAGOGICZNA W KIELCACH

B I B L I O T E K A

182044